

Susanne McCarthy

Miłość raz jeszcze

Rozdział 1

– Wariatka! – krzyknął kierowca furgonetki, z całej siły nadeptując na hamulec. Ledwo zdołał uniknąć czołowego zderzenia z białym porsche'em, który pokonując zakręt przejechał na drugą stronę drogi. – Do cholery, uważaj jak jedziesz! – wrzasnął, choć siedząca za kierownicą porsche'a kobieta z pewnością nie mogła go usłyszeć.

W rzeczywistości Josey właściwie nie zauważyła, że groził jej poważny wypadek. Całą drogę z Londynu pokonała jak w transie, niezupełnie wiedząc, co robi. Wrzuciła do podróźnej torby tylko niezbędną odzież, resztę rzeczy zostawiła w Londynie. Zostawiła tam również dziewięć lat życia.

Josey od dawna wiedziała, że jej małżeństwo legło w gruzach. Mimo to nie była przygotowana na chłodne oświadczenie Colina, że zamierza wystąpić o rozwód, ponieważ chce się ożenić z sekretarką. Najbardziej zaboląła Josey nie utrata męża, lecz fakt, iż jego kochanka jest w ciąży, a Colin jest tym zachwycony.

Josey z goryczą myślała, że Colin nigdy nie chciał, aby oni mieli dzieci. Jego zdaniem, dzieci nie pasowały do ich stylu życia. Twierdził, że wracając do domu po całym dniu ciężkiej pracy nie ma ochoty walczyć z porzrzuconymi zabawkami, zmieniać pieluch i wstawać w nocy do płaczącego dziecka.

Zapewne sama Josey powinna była już dawno wystąpić o rozwód. Nigdy jednak nie zdecydowała się na ten krok; ilekroć o tym myślała, dochodziła do wniosku, że sytuacja nie uzasadnia jeszcze tak drastycznego posunięcia. Podejrzewała wprawdzie Colina o niewierność, ale nie zdobyła się na konfrontację z mężem. Paula z pewnością nie była jego pierwszą kochanką. Josey podejrzewała, że Colin uwodzi wszystkie swoje sekretarki. Powinna była domyślić się tego, bo przecież sama kiedyś pełniła tę funkcję.

Zacząła pracować dla niego, gdy ukończyła dwadzieścia jeden lat. Colin był mężczyzną, o jakim marzy każda dziewczyna: przystojny, kulturalny, energiczny. Może nawet aż nazbyt energiczny, jak na szacowną, tradycyjną firmę, w której pracował. Rychło jednak zdecydował się na założenie własnej firmy i przekonał Josey, aby zdobyła się na ryzyko i odeszła razem z nim.

Początkowo ich stosunki były czysto formalne. Josey miała wtedy bardzo sympatycznego chłopaka, niemal narzeczonego. Pokłócili się, bo zdaniem Dereka, zbyt długo przesiadywała w biurze. Ta kłótnia spowodowała zmianę w jej życiu. Wtedy Colin po raz pierwszy zaprosił ją na kolację. Był tak uprzejmy, wykazywał tyle zrozumienia... Josey sama nie wiedziała jak to się stało, że wylądowała w jego łóżku.

Dlaczego Colin, który zaliczył już wiele kochanek, zdecydował się poślubić właśnie ją? Josey skrzywiła się ironicznie. Zapewne potrzebował jej pomocy w okresie rozbudowy firmy. Potrzebował również kogoś, kto zorganizowałby jego życie domowe i towarzyskie, kto mógłby podejmować w domu ważnych klientów i prowadzić przy stole inteligentną rozmowę.

No, i wtedy byłam piękną kobietą, westchnęła Josey. Patrząc na siebie teraz, z trudem mogła w to uwierzyć. Była blada i wychudzona, miała matowe włosy, podkrążone i pozbawione blasku oczy. W wieku trzydziestu jeden lat sprawiała wrażenie kobiety czterdziestoletniej. Może nie powinna winić Colina, że szukał innych partnerek.

Trudno byłoby powiedzieć, od czego zaczął się rozkład ich małżeństwa. Może zaczęło się od tego, że rzuciła pracę. Zrobiła to za namową Colina, który uznał, że wobec kwitnącego stanu firmy żona może przestać pracować. Josey przyjęła jego sugestię z radością. Miała nadzieję, że ta zmiana oznacza, iż pora na dzieci. Niestety, czekało ją gorzkie rozczarowanie.

Początkowo próbowała przekonać męża, ale ilekroć zaczynała rozmowę na ten temat, Colin reagował ogromnym zniecierpliwieniem i wyrzucał jej, że zawraca mu głowę. Josey wolała unikać kłótni, po jakimś czasie zatem przestała wracać do tej sprawy.

Stopniowo oddalali się od siebie. Josey nie mogła znieść stylu życia, jaki prowadzili, i kontaktów ze znajomymi, którzy nie odpowiadali jej. Gdyby chociaż mieli normalny dom z ogródkiem i psa. Niestety, mieszkali w ultranowoczesnym mieszkaniu w centrum, gdzie nudziła się śmiertelnie. Przez cały czas dręczyły ją nie zaspokojone uczucia macierzyńskie.

Josey drżącą ręką sięgnęła po niemal pustą paczkę papierosów. Palenie również niewiele mi pomogło, pomyślała z goryczą. Zaczęła palić parę lat temu, w nadziei, że to pomoże jej zachować spokój. Już wielokrotnie próbowała pozbyć się znieawidzonego nałogu, ale nigdy nie starczyło jej na to sił.

Colin zaskoczył ją, pojawiając się w domu wczesnym popołudniem. Josey obijała się po mieszkaniu w starych dżinsach i wypłowiałej trykotowej koszulce. To tylko pogorszyło sytuację. Colin lubił eleganckie kobiety. Josey dostrzegła w jego oczach pogardę, co tak ją zdenerwowało, że nie mogła zareagować z godnością na jego żądanie rozwodu.

Gdyby chociaż Paula nie była w ciąży... Z tym Josey nie mogła się pogodzić. Wybuchnęła płaczem, pobiegła do sypialni, wrzuciła do torby niezbędne rzeczy, po czym wyszła, oświadczając Colinowi, że może wnieść sprawę rozwodową, może zatrzymać mieszkanie i wszystko, co tylko chce. Wsiadła do samochodu i ruszyła przed siebie, nie myśląc nawet, dokąd jedzie.

Dopiero gdy zauważyła, że po raz drugi objeżdża wokół Londynu, zaczęła się zastanawiać, co ze sobą zrobić. Na szczęście przypomniała sobie, że parę lat temu cioteczna babka, Florrie, zostawiła jej w spadku domek w Norfolk, w jakiejś zabitej dechami dziurze.

Josey była tam po raz ostatni, gdy miała jakieś dziesięć lat. Pamiętała tylko, że domek ciotecznej babki stoi na skraju małej wsi, na zupełnym odludziu. Perspektywa zamieszkania w takim miejscu nagle wydała jej się niezwykle atrakcyjna.

Gdy zbliżała się do celu, było już ciemno, a widoczność dodatkowo utrudniała gęsta mżawka. Josey z trudem dostrzegła drogowskaz. Nie była tu już ponad dwadzieścia lat... Ciocia Florrie zmarła chyba jakieś trzy lata temu. Dopiero teraz Josey pomyślała, że domek ciotki jest zapewne w kiepskim stanie. Pewnie nie ma prądu ani wody... Mam nadzieję, że ocalało chociaż łóżko, westchnęła. W tej chwili pragnęła tylko położyć się spać. Postanowiła, że wszystkie problemy będą musiały poczekać do jutra.

Pochyliła głowę nad zapalniczką i zaciągnęła się głęboko dymem...

Nagle oślepiły ją światła reflektorów. Zbyt późno zauważyła ostry skręt w lewo. Pod wpływem paniki zacisnęła palce na kierownicy i nadepnęła na hamulec. Koła straciły przyczepność i samochód wpadł w poślizg. Zauważyła jeszcze tylko, że jej reflektory nagle sięgają w niebo...

Josey otworzyła oczy i stwierdziła, że żyje. No, mogło być gorzej, pomyślała. Przez chwilę miała przed oczami obraz samochodu staczającego się po stromym zboczu... Miała wrażenie, że zaraz zostanie zgnieciona... W tej chwili jednak samochód stał chyba na kołach, choć niewątpliwie był

bardzo pochylony, a z przedniej szyby zostały tylko szczątki. Josey usłyszała; jak ktoś pyta głośno, czy nic jej się nie stało.

Do diabła, jak ja teraz dostanę się na miejsce? – zaklęła w duchu. Poczowała krew na policzku i zdała sobie sprawę, że jest ranna. Krzyknęła głośno z bólu i strachu.

– Spokojnie, spokojnie – usłyszała chłodny głos nieznanego mężczyzny. – Na pewno nie stało ci się nic poważnego, nie miałabyś siły tak krzyczeć.

Mężczyzna otworzył drzwiczki porsche'a, rozpiął pasy i z wprawą przejechał dłońmi po jej ciele.

– Jest pan lekarzem? – szepnęła Josey. Uniosła wzrok i spojrzała w intrygujące, orzechowe oczy. Ich twarze dzieliło zaledwie kilkanaście centymetrów.

– Nie, jestem weterynarzem – odrzekł mężczyzna i zaśmiał się krótko. – Myślę, że nie udało ci się zrobić sobie krzywdy. Jesteś cała, czego nie można powiedzieć o twoim samochodzie. Możesz wstać?

– Chyba tak. Boli mnie nadgarstek.

– Pokaż.

Josey ostrożnie wyciągnęła ku niemu rękę. Weterynarz tak delikatnie zbadał przegub, że ani przez chwilę nie czuła bólu. Podświadomie zarejestrowała fakt, że jej wybawca to jeden z najprzystojniejszych mężczyzn, jakich w życiu poznała. Miał ciemne, gęste włosy, wysokie czoło, orli nos i mocną szczękę. Jego twarz sprawiała wrażenie męskiej i inteligentnej.

– Naprawdę jesteś weterynarzem? – spytała Josey.

– Tak, ale zasady weterynarii niewiele się różnią od medycyny – powiedział uspokajającym tonem. – Myślę, że złamałaś kość nadgarstka. Jeśli możesz przejść do mojego samochodu, zawiozę cię do szpitala.

– Czy twój samochód jest bardzo uszkodzony?

– Nie, nie udało ci się mnie walnąć – wyjaśnił ironicznie. – Zahamowałem i zjechałem ci z drogi. Co się stało? Czy nie widziałaś znaku ostrzegawczego?

Josey chciała pokręcić głową, ale poczuła ból.

– Spokojnie – powiedział weterynarz. – Możesz mieć wstrząs mózgu. Unikaj gwałtownych ruchów.

Objął ją ramieniem, drugą ręką podtrzymując jednocześnie złamany

nadgarstek. Josey powoli uniosła się z fotela i wysiadła z samochodu. Wsparła się o mężczyznę nieco mocniej, niż musiała. To zakrawało na szaleństwo, ale po tylu latach chłodnej obojętności Colina, z przyjemnością korzystała z uprzejmości i czulej opieki tego mężczyzny.

Spojrzała na swój samochód. Porsche zatrzymał się na skraju drogi, po przeciwnej stronie, niż jechała. Z przerażeniem stwierdziła, że cudem uniknęła poważnego wypadku. Poczula mdłości. W tej chwili rzeczywiście potrzebowała wsparcia, żeby jakoś dotrzeć do samochodu weterynarza.

Zauważyła, że to stary land rover. Oczywiście, wiejski weterynarz musi mieć mocny samochód. Na przednim siedzeniu siedział biało-czarny border collie. Mężczyzna wydał krótką komendę. Pies spojrzał z oburzeniem, ale przeskoczył na tylne siedzenie.

Josey z ulgą opadła na fotel. Zamknęła oczy. Na chwilę zapomniała o wszystkim, poza dojmującym bólem ręki i szumem w głowie. Na szczęście nie stało się jej nic poważnego. Niewiele brakowało. Po chwili otworzyła oczy i spojrzała na swój samochód.

Nieźle go urządziła! Musiała chyba zderzyć się z paroma słupkami drogowymi, bo maska i cały bok były zupełnie zniszczone. Nie opłaci się go naprawiać. Zakład ubezpieczeń powinien wypłacić odszkodowanie. Nagle ze złośliwą satysfakcją pomyślała, że to już problem Colina, nie jej. Samochód był zarejestrowany na niego.

Jej wybawca postawił przed wrakiem porsche'a ostrzegawczy trójkąt, po czym wy dobył z samochodu torebkę i torbę podróżną Josey. Gdy podszedł do land rovera, Josey uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością, jednocześnie myśląc, że potrzebuje czegoś, żeby uspokoić roztrzęsione nerwy.

– Czy przyniosłeś moje papierosy? – spytała.

– Twoje papierosy? – powtórzył niecierpliwie weterynarz, marszcząc jednocześnie brwi. Najwyraźniej nie aprobował tego nałogu.

– Leżały w schowku... – powiedziała niepewnie Josey. Poczula wyrzuty sumienia. Zapalając papierosa, przestała patrzeć na drogę. Gdyby nie ta chwila nieuwagi, nie doszłoby do wypadku.

– Dobrze – mruknął niechętnie weterynarz. – Zaraz ci przyniosę papierosy.

Josey przyglądała się, jak nieznajomy podchodzi do porsche'a. Zwróciła uwagę na jego sprężysty chód i ukryte pod oliwkową kurtką szerokie bary.

Pożałowała, że poprosiła go o papierosy. Weterynarz tak na nią spojrział, że poczuła się kompletnym zerem. I bez tego czuła się dostatecznie źle. Trudno powiedzieć dlaczego, ale zależało jej, żeby nie myślał o niej źle.

I tak trudno mi liczyć na jego uznanie, pomyślała ponuro, patrząc na odbicie swej twarzy w przedniej szybie wozu. Wyglądała źle, jeszcze gorzej niż normalnie. Sięgnęła do torebki po chusteczkę i spróbowała jakoś doprowadzić się do ładu. Weterynarz po chwili wskoczył za kierownicę i rzucił jej pudełko papierosów, nawet nie próbując ukryć swej pogardy dla ofiar tytoniowego nałogu.

– Proszę, tym razem możesz zapalić w samochodzie – warknął, wyprzedzając jej pytanie.

– Dziękuję – wymamrotała w odpowiedzi, na próżno usiłując jedną ręką wydobyć papierosa z paczki.

– Poczekaj, daj mi to pudełko – parsknął nieznajomy. Wyciągnął z paczki papierosa i włożył Josey do ust, po czym zapalił go. – Najwyraźniej postanowiłaś się zabić, albo w wypadku, albo za pomocą tej trucizny.

– Wcale nie miałam zamiaru popełnić samobójstwa! – zaprotestowała zaskoczona Josey.

– Doprawdy? – spytał oschle. – Prowadziłaś tak, jakby to jedynie było twoim celem.

– Zamyśliłam się – odrzekła opuszczając oczy. Nie miała ochoty opowiadać komukolwiek o swoich rodzinnych kłopotach, a już w żadnym wypadku temu mężczyźnie. Nie miała wątpliwości, że i bez tego w jego oczach wypadła źle.

– Skąd wzięłaś się na tej drodze? – spytał. – Zabłądziłaś?

– Nie, jechałam do wsi.

– Do Cottisham? O tej porze?

– Mam tam niewielki domek, spadek po ciotce – wyjaśniła Josey. – Miałam zamiar zatrzymać się w nim na parę dni i trochę odpocząć.

– Chyba nie masz na myśli domku starej Florrie Calder? – spytał zdziwiony i spojrział na nią kątem oka.

– Znasz ten dom?

– Owszem – odrzekł i roześmiał się sarkastycznie.

– Jeśli masz zamiar się tam zatrzymać, trzeba było pomyśleć o tym wcześniej. Obecnie to zupełna rudera.

– Rudera?... O, Boże... Nie wiedziałam...

– Ile lat minęło od czasu, kiedy zdobyłaś się na złożenie wizyty starej ciotce? – spytał surowo.

– Ostatni raz odwiedziłam ją, gdy byłam małą dziewczynką – odrzekła Josey tonem usprawiedliwienia. – Tak naprawdę to była ciotka mojej matki, a mama zmarła, gdy miałam dwanaście lat.

– Pani Calder była zdana wyłącznie na własne siły. Nie sądzisz, że mogłaś się zainteresować jej losem?

Josey opuściła głowę. Było jej wstyd. Ten człowiek miał niewątpliwie rację, ale nigdy nie pomyślała, że powinna utrzymywać stały kontakt z ciotką. Nawet mama nie czuła specjalnego związku ze starszą panią, a po jej śmierci Josey zapomniała o istnieniu ciotki. Przypomniała sobie o niej dopiero, gdy otrzymała list od adwokata z wiadomością, że odziedziczyła domek. Specjalnie się z tego nie ucieszyła, ponieważ – jak orzekł Colin – Cottisham to niezbyt odpowiednie miejsce na wakacje.

– Nigdy o tym nie pomyślałam – wymamrotała.

– Tak przypuszczałem – oświadczył mężczyzna takim tonem, jakby chciał dać jej do zrozumienia, że po takiej kobiecie jak ona niczego lepszego nie można się spodziewać. Zatrzymał się na chwilę na poboczu i sięgnął po radiotelefon. Najpierw zadzwonił do szpitala i uprzedził lekarza dyżurnego, że wiezie pacjentkę. Następnie wykręcił kolejny numer. Josey usłyszała w słuchawce kobiecy głos.

– Cześć, Maggie, mówi Tom. Bardzo cię przepraszam za spóźnienie. Byłem świadkiem niewielkiego wypadku i teraz muszę zawieźć ofiarę do szpitala. Zadzwonię do ciebie, jak tylko będę miał wolną chwilę.

– Aha... Dobrze – odpowiedziała spokojnie Maggie. – Dziękuję za wiadomość. Do zobaczenia, Tom.

Ciekawe, kim jest ta Maggie? – zastanawiała się Josey. Żoną? Sądząc po jej spokojnej reakcji, Tom chyba często się spóźnia. Josey pomyślała, że żona wiejskiego weterynarza powinna uzbroić się w cierpliwość. Nigdy nie może wiedzieć, kiedy mąż będzie musiał wyjść i kiedy wróci.

Josey poczuła ukłucie zazdrości. Oczami wyobraźni widziała już ciepły, przytulny domek, starego collie drzemiącego przy kominku i młodych chłopców, którzy wdali się w ojca...

Po chwili Tom ponownie ruszył w drogę. Josey czuła coraz silniejszy ból głowy, miała ochotę płakać. To niewątpliwie był najgorszy dzień w jej życiu.

– Czy może chcesz dać komuś znać, co się z tobą dzieje? – zapytał nieoczekiwanie serdecznie Tom.

– Nie – odrzekła Josey. – Dziękuję ci, to niezwykle uprzejmie z twojej strony.

– Jesteś w szoku – powiedział weterynarz. – Nie martw się, zaraz będziemy w szpitalu.

Josey pokiwała z wdzięcznością głową. Bardzo chciała położyć się do łóżka i zażyć jakieś środki przeciwbólowe. Nagle poczuła żal, że gdy Tom zostawi ją w szpitalu, już nigdy więcej go nie zobaczy. Zostanie w jego wspomnieniach jako wariatka, która naraziła go na niebezpieczny wypadek.

Zachowujesz się jak idiotka, skarciła się w myślach. W tej chwili z pewnością nie powinna wyobrażać sobie, że nagle zakochała się w jakimś zupełnie nieznanym weterynarzu. Musiała jednak przyznać, że Tom jest pociągającym mężczyzną. Zerknęła na niego spod oka. Oceniała, że ma ponad metr osiemdziesiąt wzrostu; wydawał się silny i zgrabny. Josey nie miała wątpliwości, że każda kobieta zwróciłaby na niego uwagę. Z prawdziwym zachwytem patrzyła na jego dłonie. Tom miał długie, szczupłe palce i mocne przeguby. Na wspomnienie, jak badał, czy czegoś sobie nie złamała, zalała ją fala gorąca.

Josey pokręciła głową. Pomyślała, że może tego dnia za dużo przeżyła. Rozmowa z Colinem, później wypadek – to wszystko zupełnie wytrąciło ją z równowagi. Tom był zupełnie innym mężczyzną niż Colin... Colin pedantycznie dbał o włosy, nosił garnitury szyte na miarę i pił wyłącznie kawę bez kofeiny. Josey nie mogła sobie wyobrazić, by Tom pijał kawę bez kofeiny. I bez tego prowadzi dostatecznie zdrowy tryb życia.

Z przyjemnością myślała, że znalazła się pod jego opieką. W towarzystwie Toma czuła się spokojna i bezpieczna.

– Już jesteśmy.

Josey uniosła powieki. Tom zatrzymał samochód przy szerokim tarasie. Zauważyła nad drzwiami napis „Pogotowie”. Po chwili przy samochodzie pojawiła się pielęgniarka, pchając fotel na kółkach.

– Dziękuję, mogę iść sama – wymamrotała Josey. Czuła się winna, że spowodowała takie zamieszanie.

– Lepiej siadaj na fotel – nakazał jej zdecydowanie Tom. Wysiadł z land rovera i podszedł z drugiej strony, żeby pomóc jej wysiąść.

Okazało się, że ma rację. W czasie krótkiej jazdy do szpitala Josey

zupełnie zdrętwiała. Z trudem poruszała rękami i nogami, nie mogła utrzymać prosto głowy. Zwaliła się ciężko na fotel i przymknęła oczy.

Słyszała, jak siostra flirtuje z Tomem, ale w tej chwili nic ją to nie obchodziło. Tom i pielęgniarka zawieźli ją do izby przyjęć. Zatrzymali się w wąskim pomieszczeniu, oddzielonym od sali parawanem.

– Czy możesz położyć się na leżance? – spytała siostra pogodnie się uśmiechając.

Josey rozejrzała się wokół. Tom już gdzieś zniknął, nawet się z nią nie żegnając. Po chwili usłyszała jednak jego głos dochodzący zza parawanu.

– Cześć, Andy. *

– O, cześć, Tom. Co się stało? Zabrakło ci pacjentów, że odbijasz mi moich klientów?

Tom zaśmiał się wesoło. Josey uznała, że ma ładny śmiech – niski i nieco ochrypły.

– Nie, to tylko jakaś kobieta zjechała samochodem do rowu – powiedział niedbałym tonem. – Chyba nic poważnego, na szczęście miała zapięte pasy. Myślę, że złamała sobie nadgarstek, a prócz tego jest tylko trochę posiniaczona i potłuczona.

– Jakież oznaki wstrząsu mózgu?

– Nie, to tylko szok.

– Doskonale. Zaraz ją zbadam.

Lekarz szybkim ruchem odsunął parawan i podszedł do Josey.

– No i jaką krzywdę sobie pani zrobiła? – spytał uprzejmie, pochylając się nad leżanką.

– To... tylko przegub – wykrztusiła Josey. Widziała poprzez na wprost odsunięty parawan, jak Tom gawędzi z pielęgniarką. Znów poczuła ukłucie zazdrości. Spojrzała na siostrę. Ładna, seksowna blondynka o twarzy, z której promieniowała kobieca słodycz.

A może Tom wcale nie jest żonaty, pocieszyła się Josey. Może ta siostra to jego dziewczyna. Josey była gotowa się założyć, że wszystkie wolne kobiety poniżej sześćdziesiątki, mieszkające w tej okolicy, uganiają się za Tomem. Lepiej od razu zrezygnować, pomyślała ponuro. Kiedyś, parę lat temu, zapewne odważyłaby się stanąć do konkurencji, ale teraz...

Josey ze znużeniem opuściła powieki. Czowała, że lekarz ją bada. Robił to delikatnie, ale nie tak delikatnie jak Tom.

– No cóż, chyba nic poważnego się pani nie stało – powiedział wreszcie.

– Jedyne problem to nadgarstek. Poślę panią na prześwietlenie, ale wygląda na to, że będziemy musieli założyć gips.

Josey pokiwała apatycznie głową. Tom gdzieś zniknął. Wolałaby jak najszybciej znaleźć się w łóżku, ale to nie było takie proste. Najpierw siostra musiała wypełnić kartę choroby, następnie pojawił się pielęgniarz i zawiózł ją na prześwietlenie. Później pojechała na chirurgię, gdzie lekarz założył jej gipsowy opatrunek. Gdy wrócili do izby przyjęć, Josey zdrzemnęła się w fotelu. Nagle usłyszała głos Toma.

– Jechałem do domu i pomyślałem, że wstąpię dowiedzieć się, co z tą kobietą.

– Chyba wszystko w porządku – odrzekł lekarz dyżurny. Wydawał się nieco zakłopotany. – Nie widać żadnych oznak wstrząsu mózgu. Nadgarstek już opatrzyliśmy. Jest jeszcze w szoku, ale to minie.

– O co zatem chodzi?

– Przykro mi, ale nie mogę jej tu zatrzymać na noc. Nie ma żadnych powodów medycznych uzasadniających hospitalizację. Dobrze wiesz, że brak nam łóżek.

– Zamierzasz zatem ją wypisać? – Tom wydawał się zaskoczony.

– Naprawdę nie mam wyboru. Co najwyżej mogę zatrzymać ją na noc tutaj, w izbie przyjęć. Potrzeba jej tylko paru dni odpoczynku pod czyjąś opieką. To wystarczy, żeby przyszła do siebie. Ma tu jakichś przyjaciół lub krewnych?

Josey słyszała, jak Tom zaśmiał się ironicznie.

– To kuzynka pani Calder, tej, co zmarła trzy lata temu. Pamiętasz ten stary, kamienny domek przy Breck's Coppice?

– Chyba nie miała zamiaru tam się zatrzymać? – spytał z niedowierzaniem lekarz. – Przecież nikt tam od dawna nie mieszka, to zupełna ruina!

– Cóż, ściany i stropy są w zupełnie niezłym stanie, ale wewnątrz wymaga sporego nakładu pracy, nim dom będzie zdany do zamieszkania. Wygląda jednak na to, że tej kobiecie nie brakuje pieniędzy – dodał sarkastycznym tonem Tom. – Ktoś, kto może sobie pozwolić na skasowanie porsche'a, zapewne nie ma poważnych problemów finansowych.

W głosie Toma Josey dosłyszała wyraźną wzdargę. Miała ochotę schować się gdzieś w kącie. Oczywiście, ci, co podsłuchują, rzadko słyszą miłe rzeczy, ale czy w tej sytuacji mogła nie podsłuchiwać?

– To jednak w dalszym ciągu nie rozwiązuje mojego problemu – zauważył doktor. – Wciąż ale wiem co mam z nią zrobić. Oczywiście, mogę zadzwonić do jej męża i powiedzieć mu, żeby zaraz po nią przyjechał.

– Nie! – odruchowo zaprotestowała Josey i spróbowała wstać. Lekarz widocznie usłyszał jej głos, bo odchylił parawan i pośpiesznie podszedł do kozetki.

– Spokojnie, spokojnie! – upomniał ją marszcząc brwi. – Nie powinna pani sama wstawać – dodał i delikatnie zmusił ją do powrotu na leżankę.

– Proszę... nie dzwonić do mojego męża – poprosiła słabym głosem. – Zatrzymam się w jakimś hotelu.

Tom wychylił się zza parawanu i spojrzał na nią ze złośliwym rozbawieniem.

– Czy pani myśli, że jesteśmy w South Kensington?

– zapytał z ironią. – W okolicy nie ma zbyt wielu hoteli, a wolne łóżka z pewnością zajęli już turyści.

– Co więcej, wołałbym, żeby pani nie zatrzymywała się sama w hotelu. Potrzebuje pani opieki – stwierdził lekarz z powagą. – Czy nie zna tu pani kogoś, u kogo mogłaby się pani zatrzymać na parę dni?

– Nie – przyznała niechętnie Josey. – Od lat nie odwiedzałam tej okolicy. Tym razem... zdecydowałam się przyjechać bez większego namysłu, to był taki kaprys.

– Wobec tego gdzie się pani teraz podzieje? – westchnął ciężko lekarz. Zawahał się i zerknął na Toma.

– Hm, nie przypuszczam...

– Co takiego? – spytał Tom.

– To nie trwałoby zbyt długo, najwyżej dzień, może dwa – powiedział lekarz takim tonem, jakby chciał Toma do czegoś namówić. – Nie musiałbyś się nią zajmować. Niczego jej nie potrzeba z wyjątkiem odpoczynku. W poniedziałek będzie już zdrowa.

– Och, nie! To wykluczone! – wykrzyknęła Josey, gdy zrozumiała, co proponuje lekarz.

– Naprawdę, bardzo byś mi pomógł, Tom – nalegał doktor. – Prócz tego, gdybyś się nią zajął, nie miałbym żadnych wątpliwości, że szybko wróciłaby do zdrowia.

– No, dobra – zgodził się Tom po chwili wahania. W jego głosie brakło nawet cienia entuzjazmu. – Wygląda na to, że nie mam wyjścia.

Doktor westchnął z ulgą.

– Dam ci receptę na diazepam – powiedział. – Możesz ją zrealizować w każdej aptece. Gdzie zaparkowaliście samochód? Siostró, proszę wezwać sanitariusza, niech tu przyjdzie z fotelem na kółkach.

Lekarz wyszedł pośpiesznie do następnego pacjenta. Josey spojrzała z zakłopotaniem na Toma.

– Bardzo cię przepraszam – wymamrotała speszona. – Sprawiam ci tyle kłopotów.

– To żaden problem – odrzekł Tom, ale nawet się nie uśmiechnął, nie zrobił nic, żeby ją uspokoić.

– Jak tylko będę mogła się ruszyć, zaraz przeniosę się do hotelu.

– Powiedziałem ci, że to żaden kłopot – powtórzył Tom niecierpliwie. – Uprzedzam cię jednak, że mój dom to nie hotel Ritza.

Rozdział 2

Leżąc w ogromnym łóżku, Josey wpatrywała się w sufit i usiłowała samą siebie przekonać, że nie śni. Jaskrawe promienie słońca przebijały się przez żółte firanki i padały na wypłowiały dywan, uszyty ze skrawków materiału, i stare dębowe meble.

Jeszcze wczoraj rano obudziła się w swym stylowym, włoskim łóżku, w pomalowanej na biało sypialni z ozdobnym parkietem, z której okna można było zobaczyć Tower Bridge. Gdyby wszystko było normalnie, teraz udawałaby się do supernowoczesnej kuchni, aby przygotować Colinowi śniadanie.

Tak było jeszcze wczoraj, ale to należało do przeszłości, z którą już nieodwołalnie skończyła. Jej małżeństwo również należało do przeszłości. Teraz Josey musiała sama poradzić sobie ze swoim życiem. Nieoczekiwanie znalazła się w zupełnie nowej, zaskakującej sytuacji.

Słabo pamiętała, w jaki sposób znalazła się tutaj. Lekarz dał jej jakieś lekarstwo uśmierzające ból; wkrótce potem zasnęła niemal na stojąco. Mgliście pamiętała widok niskiego domku z cegły i zapach róż w ogrodzie. Pamiętała jeszcze przytulną kuchnię z nierówną podłogą z desek i wiklinowy kosz z posłaniem dla psa, stojący obok ogromnego kominka.

Przed oczami majaczyły oderwane obrazy przeżyć poprzedniego dnia. Pamiętała również, że potknęła się na progu... Wtedy Tom, bez najmniejszego wysiłku, wziął ją na ręce i wniósł po schodach do tego pokoju. Na myśl o tym poczuła suchość w ustach.

Pamiętała, że usztywniona gipsem i zawieszona na temblaku ręka utrudniała jej zmianę ubrania. W końcu Tom musiał jej pomóc włożyć nocną koszulę. Zrobił to w tak bezceremonialny sposób, że Josey nie próbowała nawet udawać zawstydzenia. Tom traktował ją z chłodną obojętnością, jak lekarz pacjentkę.

Josey nie mogła sobie natomiast przypomnieć żadnych oznak, świadczących o istnieniu żony i dzieci Toma, choć niewątpliwie rozglądała się za śladami życia rodzinnego. Miała wrażenie, że znalazła się w domu samotnego mężczyzny. Na półce nad kominkiem brakowało jakichkolwiek ozdób, a wspaniałe róże, których zapach czuła przechodząc przez ogród, jakoś nie trafiły do wnętrza domu. Firanki należałoby uprać.

Josey skrzywiła się z gorzką ironią pod własnym adresem. Zapewne potrzebowała romantycznych marzeń, żeby łatwiej strawić gorycz rozvodu. A może również miała nadzieję, że znajdzie w oczach Toma choć ślad zainteresowania, dowód, że może jeszcze być atrakcyjna...

Westchnęła i ostrożnie usiadła na łóżku. Pomyślała, że jeśli oczekuje komplementów, to nie powinna tracić czasu na rozmowy z Tomem Quinnem. Wyglądało na to, że Tom zarezerwował wszystkie ciepłe uczucia dla swych pacjentów i nie pozostało mu już nic dla przedstawicieli rodzaju ludzkiego, a zwłaszcza dla kobiet.

Czego właściwie mogła oczekiwać? Josey pomyślała, że jeśli chce jeszcze zwrócić na siebie uwagę jakiegoś mężczyzny, musi wziąć się w garść i zadbać o siebie.

Boże, jaka jestem obolała, westchnęła. Czowała ból w całym ciele, szumiało jej w głowie, a ręka w gipsie zupełnie zdrętwiała, lecz nie przestała boleć. Na dodatek umierała z braku nikotyny. Wiedziała, że musi jakoś wstać z łóżka i pójść po papierosy, leżące na komodzie w drugim końcu pokoju.

Josey niemal się rozpląkała z żalu nad sobą. Każdy ruch kosztował ją tyle wysiłku, że perspektywa przejścia paru kroków do komody budziła w niej przerażenie. Wiedziała jednak, że inaczej głód nikotynowy nie da jej spokoju. Niecierpliwym gestem odrzuciła kołdrę i opuściła nogi na podłogę.

Pociemniało jej w oczach. Przez chwilę siedziała nieruchomo, czekając, aż ustąpi ból. Gdy nieco oprzytomniała, zacisnęła zęby i wstała. Udało jej się przejść jakieś trzy kroki, gdy drzwi się otworzyły i stanął w nich Tom. W rękach trzymał tacę ze śniadaniem.

– Do diabła, co ty wyprawiasz? – spytał gniewnie.

– Dlaczego sama wstałaś z łóżka?

– Ja... ja chciałam zapalić – wyjaśniła Josey. Zrezygnowała z dalszych wysiłków i wróciła do łóżka.

– Dlaczego nie zawołałaś, żebym ci podał papierosy?

– Myślałam... że jesteś zajęty – wymamrotała. Nagle z przykrością stwierdziła, że wydekoltowana koszula nocna nie skrywa jej wychudłych ramion. Biały jedwab tylko podkreślał bladość skóry. – Bardzo przepraszam – dodała, chowając się pod kołdrę.

– Nie musisz bez przerwy się usprawiedliwiać – powiedział Tom, stawiając tacę na nocnym stoliku. Podszedł do komody i rzucił Josey

papierosy, nie kryjąc niechęci. – Zjedz śniadanie – polecił jej surowo.

– To ci lepiej zrobi niż ta trucizna.

– Nie jestem głodna – wybąkała Josey, patrząc na pełną tacę. – Zazwyczaj nie jadam śniadania.

– Aha – skrzywił się Tom. Nie powiedział tego głośno, ale nie miała wątpliwości, że krytycznie ocenił jej wygląd. Patrzył z niechęcią, jak Josey zapala papierosa i głęboko się zaciąga. – Dużo palisz? – spytał wprost.

– Och... tylko paczkę dziennie – odpowiedziała nie patrząc mu w oczy. – Wiem, że są szkodliwe, i próbowałam przestać, ale naprawdę nie mogłam.

– Gdybyś naprawdę chciała, to byś mogła.

Josey spojrzała na niego z niechęcią. Tom zapewne nigdy nie palił. Wyglądał na mężczyznę, któremu nie brak silnej woli i zdecydowania.

– Tak... kiedyś rzucę palenie – obiecała mgliście. – Teraz nie mogę. Wszyscy mówią, że nie można próbować, gdy ma się kłopoty.

– To właśnie najlepsza pora – stwierdził Tom bez krzty litości. – Jeśli teraz zdołasz obejść się bez papierosów, już nigdy nie będziesz ich potrzebować.

– Bardzo przepraszam – mruknęła Josey czując, że zaraz się rozplacze. W tej samej chwili przypomniała sobie, że Tom nie chciał, aby stale przepraszała, i znowu przeprosiła go za swe roztargnienie. Tom zaśmiał się krótko.

– Zjedz lepiej śniadanie – powtórzył i wyszedł z pokoju.

Josey oparła się na poduszkach i przymknęła powieki. Jak mogła dopuścić do tego, że nie potrafi już zacząć dnia bez papierosa? Nic dziwnego, że Tom patrzył na nią z takim lekceważeniem.

Spojrzała na tacę. Nawet gdyby dobrze się czuła, nie zdołałaby zjeść połowy tego. Z rozpaczą pomyślała, że będzie urażony i zły.

No, nie ma w tym nic dziwnego, pomyślała samokrytycznie. Od chwili, gdy niemal rozbiła jego samochód, była dla niego źródłem kłopotów. Byłoby lepiej, gdyby przeniosła się do hotelu. Postanowiła zrealizować tę myśl, i mimo bólu wstała z łóżka.

W rogu pokoju znajdowała się niewielka umywalka. Josey zmusiła się, żeby tam podejść. Umyła ręce i twarz, po czym z wielkim trudem się ubrała. Gdy skończyła i zaczęła zbierać swoje rzeczy do torby, w pokoju znowu pojawił się Tom.

– Do licha, co ty wyprawiasz? – zapytał gniewnie.

– Przecież ci powiedziałem, że masz leżeć w łóżku. Nawet nie tknęłaś śniadania.

– Wiem, bardzo przepraszam – powiedziała i ugryzła się w język. Znowu go przeprasza! – Jestem ci bardzo wdzięczna za pomoc, ale nie mogę dłużej nadużywać twojej gościnności. Chciałabym tylko zadzwonić po taksówkę. Przenieś się do jakiegoś hotelu.

– Nie bądź głupia! – parsknął niecierpliwie Tom.

– Jesteś słaba jak nowo narodzony kociak. Wracaj do łóżka.

– Nie, nie, pojedę do hotelu – upierała się Josey.

– Wiem, że masz ze mną same kłopoty... – dodała. Spróbowała podnieść torbę, ale nie zdołała jej udźwignąć. Uklękała na podłodze. Czuła, że zaraz się rozplacze.

– Wracaj do łóżka – powtórzył Tom, tym razem nieoczekiwanie serdecznie. Josey załkała głośno.

– W takim stanie nie możesz nigdzie jechać – powiedział, po czym wziął ją na ręce i zaniósł na łóżko. Usiadł tuż przy niej. – Bardzo przepraszam, jeśli potraktowałem cię nie dość ciepło. Naprawdę nie chciałem, żebyś odniosła wrażenie, iż sprawiasz mi kłopoty – powiedział z pewnym ociąganiem. – Przywykłem raczej do czworo-, a nie dwunożnych pacjentów.

– To ja przepraszam – wymamrotała Josey. – Z pewnością powinieneś iść do pracy, zamiast tracić czas na przygotowywanie dla mnie śniadania.

– To Vi zrobiła ci śniadanie – poprawił ją Tom.

– Nie mogła sama go przynieść na górę, ma reumatyzm. Ciężko jej wchodzić po schodach.

– Och... – westchnęła Josey i jakoś zdołała powstrzymać się od płaczu, w czym pomogła jej na nowo rozbudzona ciekawość. Jeśli Vi jest taka stara, że cierpi na reumatyzm, to chyba nie może być jego żoną? – Kto to jest Vi? – spytała pozornie obojętnym tonem.

– Moja gosposia.

– Aha – zerknęła na niego spod opuszczonych rzęs.

– Nie jesteś żonaty?

– Nie.

– Kim zatem jest Maggie?

– Maggie? – Tom wydawał się szczerze zdumiony.

– Ach, masz na myśli Maggie Hunter? To żona farmera z Saltham Marsh. Jechałem właśnie zbadać jedną z jej krów, gdy zdarzył się ten

wypadek.

– Och... – westchnęła Josey i lekko się zaczerwieniła. Była na siebie zła, że zadała to pytanie.

Tom sięgnął w stronę tacy i podał jej miseczkę z zupą mleczną.

– Spróbuj coś zjeść – zachęcił ją. – Od razu poczujesz się lepiej.

Josey miała co do tego wątpliwości, ale nie chciała się z nim kłócić. Nieoczekiwanie dla siebie samej zjadła prawie całą porcję.

– Tak już lepiej – pochwalił ją Tom. – Resztę możesz zostawić na później, zjesz to na drugie śniadanie – dodał spoglądając na zegarek. – Skoro się ubrałaś, możesz zejść na dół i położyć się na sofie. Ja muszę już wyjść. Myślę, że w salonie będzie ci przyjemniej, tu zanudzisz się na śmierć.

– Dziękuję. – Josey zdobyła się na uśmiech. – Jesteś bardzo uprzejmy.

Tom również się uśmiechnął. Po raz pierwszy zobaczyła jego uśmiech. Twarz Toma całkowicie zmieniła wyraz, zniknął z niej surowy grymas.

– Większość ludzi twierdzi, że uprzejmość nie jest moją silną stroną – zauważył z ironią. – Zwłaszcza w stosunkach z ludźmi.

– Och, nie! – zaprotestowała. – Przecież tyle dla mnie zrobiłeś!

– No cóż... Nie musisz mi stale dziękować – sarknął Tom, tak jakby podziękowania Josey irytowały go bardziej niż jej obecność. – Chodź, pomogę ci zejść po schodach. Czy możesz iść sama, czy wolisz, żebym cię zniósł?

– Nie, zejść sama – odrzekła, choć na myśl o tym, że mogłaby znów poczuć uścisk jego silnych ramion, jej serce od razu mocniej zabiło. Boże, chyba zwariowałam, pomyślała Josey, zachowuję się jak nastolatka, nie jak trzydziestojednoletnia mężatka. I to tylko dlatego, że Tom jest taki przystojny...

Nie mogła się oszukiwać, że to tylko okoliczności sprawiły, iż tak łatwo poddała się urokowi Toma. Nigdy nie reagowała w ten sposób na obecność Colina. Bała się teraz, że fizyczne pragnienie, jakie budził w niej Tom, pozbawi ją rozsądku. Zwłaszcza teraz, gdy już wiedziała, że nie jest żonaty, łatwo mogła ulec rozmaitym romantycznym złudzeniom.

Josey powiedziała sobie, że w żadnym wypadku nie może zdradzić swych uczuć. Tom z całą pewnością nie byłby z tego zadowolony.

Głównym pomieszczeniem w domu Toma była niewątpliwie połączona z salonem kuchnia. Panowała tu swojska, wiejska atmosfera, którą często bez

powodzenia próbują odtworzyć projektanci wnętrz. Josey z przyjemnością wyciągnęła się na wygodnej sofie. Stary Jethro skulił się u jej stóp, a głowę złożył na kolanach. Czuła na skórze ciepłe promienie słońca, które wpadały przez okno.

Poprzedniego wieczoru Josey nie zwróciła uwagi na położenie domu, ale teraz miała wrażenie, że znajduje się on w środku wsi. Słyszała, jak na ulicy pozdrawiają się przechodnie. Rozlegało się szczekanie psów, dwukrotnie przejechał drogą traktor. Parokrotnie usłyszała stukot końskich kopyt: przez cały czas słychać było śpiew ptaków.

Josey niepokoiła się nieco, co Vi powie na to, że w domu w środku nocy pojawiła się kobieta. Okazało się jednak, że Vi jest uosobieniem życzliwości. Od chwili gdy Josey pojawiła się na dole, Vi nieustannie się wokół niej krzątała. Podparła ją kilkoma miękkimi poduszkami, po czym przyniosła z poczekalni Toma stare kolorowe magazyny.

Nim skończyła pracę, podała Josey kubek mocnej, gorącej herbaty i parę kawałków domowego ciasta z owocami. Josey ze wzruszeniem pomyślała, że od lat nie jadła czegoś takiego. Kiedyś mama piekła ciasto i Josey przejęła od niej wiele przepisów. Niestety, Colin nie lubił słodczy, więc Josey wkrótce przestała tracić czas na wypieki.

Ciasto Vi było znakomite. Jethro od razu uniósł łeb i spojrzał na Josey wymownie. Wyraźnie dawał jej do zrozumienia, że powinna podzielić się z przyjacielem. Josey ze śmiechem go pogłaskała.

– Czy wolno ci jadać takie smakołyki? – spytała. – Nie jestem pewna, czy ciasto wyjdzie ci na zdrowie.

Jethro spojrzał na nią swymi błyszczącymi oczami, przypominającymi oczy jego pana. Josey nie mogła dłużej stawiać oporu.

– No, dobrze – uległa i odłamała niewielki kawałek ciasta. – Masz, ale nic nie mów swemu panu.

Zadzwonił telefon, jednak nie podniosła słuchawki. Vi uprzedziła ją, że Tom ma automatyczną sekretarkę. Josey westchnęła i wyciągnęła się wygodnie na poduszkach. Wiedziała, że wcześniej czy później będzie musiała dać znać Colinowi, co się z nią dzieje, ale nie miała ochoty dzwonić do niego teraz.

Zasypiała już, gdy obudziło ją trzaśnięcie drzwi wejściowych. Uniosła głowę i spojrzała z zaciekawieniem. Spodziewała się, że zobaczy Toma, ale Jethro, zamiast radośnie zaszczekać, zrobił znudzoną minę i odwrócił się

tyłem.

Po chwili w drzwiach do kuchni pojawiła się kobieta w wieku Josey. Jasna blondynka o brzoskwiniowej cerze, wyglądała na typową przedstawicielkę brytyjskich wyższych sfer. Miała na sobie białe bryczesy, a w rękę trzymała szpicrutę. Gdy się odezwała, jej akcent potwierdził przypuszczenia Josey.

– Och – westchnęła z pewnym zdziwieniem. Patrzyła na Josey tak, jakby sprawdzała, czy pies nie nabrudził na dywan. – Wstąpiłam odwiedzić Toma.

– Nie ma go – odparła Josey, zirytowana jej wyniosłym tonem. Nie zamierzała udawać serdeczności.

– Rozumiem...

Josey czuła na sobie badawcze i nieprzyjazne spojrzenie zimnych oczu nieznajomej. Ciekawe, czy ta dama uważa weterynarza za swą własność, pomyślała. Tylko to mogło tłumaczyć tę wrogość.

– Czy mam mu coś przekazać? – spytała.

– Och... chyba nie. Wydawało mi się, że Zella okulała, ale to właściwie drobiazg... Odprowadzę ją stępa do stajni, a jeśli to nie pomoże, później zadzwonię po Toma.

Nieznajoma starała się zachować pewność siebie, ale w jej głosie Josey dosłyszała wahanie i niepokój. Nie miała wątpliwości, że widok nieznajomej kobiety, zadomowionej w kuchni Toma, wytrącił ją z równowagi. W tej właśnie chwili Jethro postanowił podziękować Josey za ciasto i serdecznie polizał jej rękę, wyraźnie demonstrując głębokie przywiązanie.

– Doskonale, powtórzę Tomowi, że pani tu była – powiedziała Josey.

Ciekawe, kto to taki, pomyślała, gdy nieznajoma zamknęła za sobą drzwi. Może to stała dziewczyna Toma? No, ale choć próbowała to ukryć, w jej zachowaniu widać było, że nie jest pewna swej pozycji, odnotowała z satysfakcją Josey.

Oczywiście, to wszystko było zwykłą mrzonką. Josey wiedziała, że za parę dni wyzdrowieje i nigdy więcej nie zobaczy już Toma. Prócz tego Tom nie zdradzał najmniejszego zainteresowania jej osobą. Dał jej to wystarczająco jasno do zrozumienia.

Bezwiednym ruchem sięgnęła po papierosa, ale zaraz przypomniała sobie, że paliła zaledwie pół godziny temu. Zaklęła pod nosem. Zostało jej już tylko kilka papierosów, a nie miała ochoty prosić Toma, by kupił jej nową paczkę.

Od razu zaczął jej dokuczać przykry głód nikotynowy. Ciekawe, jak daleko do jakiegoś sklepu lub kiosku, pomyślała. Czowała się niezwykle słaba. Na myśl o stumetrowym spacerze miała ochotę krzyknąć, że jest zupełnie wyczerpana. W dodatku najpierw musiałyby pójść na górę po portmonetkę.

– Boże, tak bardzo bym chciała przestać palić! – westchnęła z rozpaczą. Wiedziała, że jej włosy i ubrania śmierdzą papierosami. Ostatnio zauważyła, że zaczęły jej żółknąć zęby. Przeczytała w jakimś magazynie, że nikotyna powoduje przedwczesne starzenie się skóry. Kiedyś miała taką piękną skórę! W tej chwili jednak po prostu potrzebowała papierosa, tak jak głodny człowiek potrzebuje jedzenia.

Wchodząc po schodach miała wrażenie, że wspina się na Mount Everest, ale jakoś dobrnęła do sypialni. Musiała usiąść na łóżku, żeby odpocząć. Nagle usłyszała warkot samochodu i radosne szczekanie Jethro. Najwyraźniej wrócił Tom. Do diabła, dlaczego właśnie teraz, pomyślała ze złością.

Słyszała, jak wchodzi do domu i wita się z psem. W chwilę później wbiegł na górę. Josey wstała, gotując się do konfrontacji. Choć wiedziała, że ma prawo wyjść i kupić sobie papierosy, czuła się jak uczennica przyłapana na gorącym uczynku.

– Co ty tu robisz? – spytał z gniewnym zniecierpliwieniem Tom, zatrzymując się na progu pokoju.

– Bardzo przepraszam – automatycznie odpowiedziała Josey. – Nie chciałam... to jest... Po prostu weszłam na górę po...

– Nie powinnaś sama wchodzić po schodach, gdy nikogo nie ma w domu – skarcił ją Tom. – A co by było, gdybyś upadła?

– Nie wiem, czy wiesz, ale nie jestem zupełną idiotką – odpowiedziała ze złością. Jej cierpliwość również się wyczerpała. – Gdybym uważała, że mogę spaść ze schodów, nie próbowałabym sama wchodzić.

Ta gwałtowna odpowiedź zaskoczyła i ją, i Toma. Tom zmarszczył czoło. Zaniepokojona Josey spodziewała się, że teraz on pokaże jej, gdzie raki zimują. Zupełnie nieoczekiwanie jednak serdecznie się do niej uśmiechnął.

– Bardzo przepraszam – powiedział łagodnym tonem. – Po prostu martwiłem się o ciebie. Powinnaś odpocząć.

– Odpoczywam już od rana – odrzekła Josey, nie patrząc mu w oczy. Wiedziała, że się rumieni. Z trudem wykrztusiła te słowa. – Teraz

mogłabym chyba wystartować w biegu na dziesięć kilometrów.

Z trudem wstała z łóżka. Postanowiła, że jakoś się obejdzie bez tych cholernych papierosów. Może Tom ma rację, pomyślała. Jeśli teraz wytrzymałaby bez palenia, uwolniłaby się od nałogu już na zawsze.

– Aha – przypomniała sobie i zerknęła na Toma spod opuszczonych powiek. – Niedawno była tu jakaś kobieta, chciała się z tobą widzieć. Jej koń okulał. Powiedziała, że zadzwoni do ciebie później.

– Czy powiedziała, jak się nazywa?

– Nic. Zachowywała się tak, jakby oczekiwała, że będzie dla ciebie oczywiste, o kogo chodzi.

– Rozumiem – powiedział Tom, lecz w jego oczach pojawił się jakiś dziwny błysk. Trwał tak krótko, że Josey nie zdołała odgadnąć, co mógł oznaczać.

Choć twierdziła, że czuje się dobrze, gdy stanęła na schodach, zakręciło jej się w głowie. Nie chciała jednak, żeby Tom to zauważył. Znow chciałby znieść ją na dół! Josey chwyciła mocno poręcz i zaciskając zęby ruszyła w dół.

Odetchnęła z ulgą, dopiero gdy dotarła do sofy. Opadła na nią nieco ciężiej, niż zamierzała, wyciągnęła się, głowę położyła na oparciu i przymknęła powieki. Nie mogła uwierzyć, że tak niewielki wysiłek tyle ją kosztował. Usłyszała ironiczny śmiech Toma.

– Nie jesteś w tak rewelacyjnej formie, jak myślałaś, prawda? – spytał złośliwie.

– Rzeczywiście, to prawda – przyznała Josey. – Dopóki siedzę, wszystko wydaje się w porządku, ale gdy wstaję, znowu tracę oddech.

– Za dzień lub dwa poczujesz się lepiej – pocieszył ją Tom nieoczekiwanie łagodnym tonem. – Zaraz zagotuję wodę. Czy chcesz filiżankę kawy?

– T... tak, bardzo proszę – uprzejmość Toma speszyła Josey. Czowała się pewniej, gdy krzyczał.

Tom sprawiał wrażenie człowieka całkowicie samowystarczalnego. Widać było, że potrafi się obyć bez pomocy kobiety. Vi troszczyła się o jego dom, a Tomowi zapewne – co do tego Josey nie miała wątpliwości – nigdy nie brakowało chętnych młodych kobiet, gotowych zaspokoić inne jego potrzeby, nawet gdyby nie miały otrzymać nic w zamian. Za towarzysza i przyjaciela wystarczał mu pewnie pies.

Jeśli nawet obecnie Tom jest wolny, to czy zawsze tak było? Zdaniem Josey, Tom miał trzydzieści parę lat. Chyba nie udało mu się przetrwać bez żadnych zobowiązań tak długo! Josey chciałaby poznać najdrobniejsze szczegóły dotyczące Toma, ale podejrzewała, że trudno byłoby namówić go do zwierzeń.

Tom przyniósł jej kawę, po czym zasiadł w starym, wygodnym fotelu, stojącym tuż przy kominku. Długie nogi oparł o kamienne palenisko. Jethro zwinął się w kłębek u stóp pana i co chwila spoglądał na niego oczami pełnymi uwielbienia.

Josey popijała kawę i zastanawiała się, jak zacząć rozmowę.

– To bardzo ładny domek – powiedziała wreszcie. – Od dawna już tu mieszkasz?

– To był dom mojego wuja. Przez jakiś czas byliśmy współnikami, ale pięć lat temu wuj przeszedł na emeryturę. Od czasu do czasu wciąż jeszcze tu przyjeżdża, żeby pomóc mi w pracy.

– A zatem urodziłeś się w tej wsi?

– Tak – przytaknął Tom, kiwając głową. – Moi rodzice mają farmę w Withingham. Hodują krowy i świny. Teraz farma jest już na głowie mojego brata. To on odziedziczył gospodarstwo. Ojciec ma prawie siedemdziesiąt lat, ale wciąż z uporem twierdzi, że może dalej pracować!

– Czy zawsze chciałeś być weterynarzem?

– Od wczesnego dzieciństwa – odrzekł z uśmiechem. – Przychodziłem tu po szkole i zwracałem wujkowi głowę, że chcę mu pomóc. Doprowadzałem go do szału znosząc ptaki z przetrąconymi skrzydłami i uwolnione z wnyków króliki. To nie zyskało mi wielkiej popularności we wsi. Czasami myślę, że im lepiej znam ludzi, tym bardziej kocham zwierzęta.

– To chyba ciężka praca.

– Tak, to cholernie ciężkie i niezbyt zyskowne zajęcie – zaśmiał się gorzko Tom. Zerknął na nią ironicznie spod oka. – W każdym razie nie można w ten sposób zarobić na porsche'a.

To była celna uwaga. Josey skrzywiła się i na chwilę zamilkła.

– A czym ty się zajmujesz w Londynie? – spytał Tom. Powiedział to takim tonem, jakby nie oczekiwał żadnej sensownej odpowiedzi.

– Och... kiedyś byłam sekretarką – wyjąkała Josey.

– Od paru lat nie pracuję. Mój mąż sobie tego nie życzył.

– Od jak dawna jesteś zamężna?

– Od prawie dziewięciu lat. To długo, prawda? W dzisiejszych czasach nawet za morderstwo można dostać lżejszy wyrok.

– Zatem małżeństwo jest dla ciebie więzieniem?

– spytał Tom unosząc brwi.

– To coś znacznie gorszego niż więzienie! – wybuchnęła Josey. – Z więzienia można przynajmniej wyjść w nagrodę za dobre sprawowanie.

– Z drugiej strony, wątpię, byś mogła odsiadywać wyrok w jakimś luksusowym londyńskim apartamencie lub jeździć na przejażdżki sportowymi samochodami – zauważył Tom.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytała gniewnie.

– Jakoś nie śpieszyło ci się, żeby wydostać się z tego więzienia, prawda?

– No, nie... ale...

– Czy za te wszystkie luksusy warto było płacić dziewięcioma latami życia? – zadrwił Tom. – Stroje, biżuteria, szybkie samochody...

– To nieprawda! – zaprotestowała Josey. – Jak możesz tak mnie sądzić? Przecież nawet mnie nie znasz!

– Nie muszę cię znać, wystarczy, że na ciebie spojrzę – Tom zmierzył ją lodowatym wzrokiem.

– Widać, że uważasz, iż nigdy nie masz dość pieniędzy i nie jesteś wystarczająco szczupła! Jesteś bez przerwy na diecie, żeby móc się wbić w modne ciuchy. Została z ciebie skóra i kości. Na dodatek nie potrafisz obyć się bez tych śmieci. – Tom spojrział z obrzydzeniem na puste pudełko po papierosach. – Mogę cię zapewnić, że jeśli trochę utyjesz, to będziesz znów wyglądała jak normalna kobieta, ale jeśli nie znormalniejesz, to...

Ostry dzwonek przerwał mu tę przemowę. Tom szybko wstał z fotela i ruszył do drzwi. Po chwili w kuchni pojawił się wysoki, rudy mężczyzna. W rękach trzymał owiniętego w ręcznik psa.

– Przepraszam, że zakłócam ci spokój, Tom – powiedział. – To nasz stary Shep – wyjaśnił. – Jeszcze rano wydawał się zupełnie zdrowy, ale gdy żona przywiozła dzieci ze szkoły, nawet się nie ruszył, by je powitać. Nawet kość go nie zainteresowała. Jest już stary i głuchy, ale dzieci bardzo go kochają. Nie wiem, czy jeszcze można coś zrobić.

– W porządku, zaraz go obejrzę, Bob. Zanieś go do gabinetu.

– Jak sądzisz, uda się go wyciągnąć?

– Postaram się – odrzekł Tom, ale spojrział z powątpiewaniem na

posiwały łeb psa.

Rozdział 3

Wiedziona instynktownym współczuciem dla pieska, Josey również poszła do przychodni weterynaryjnej. Przychodnia składała się z niewielkiego biura, poczekalni, pokoju zabiegowego i pomieszczenia, gdzie przebywały zwierzęta podczas dłuższej kuracji. Na środku pokoju zabiegowego stał spory stół nakryty linoleum, a na ścianach wisiały gablotki z różnymi tajemniczymi narzędziami.

– Połóż go na stole, Bob – polecił Tom, wskazując gestem stół operacyjny. – Możesz iść do domu, ja się nim zajmę. Zobaczę, co się da zrobić.

– Dobrze – powiedział Bob stłumionym ze wzruszenia głosem. Josey zauważyła, że ukradkiem otarł łzę z oka. – Zostawię go pod twoją opieką. Za parę godzin zadzwonię, żeby dowiedzieć się, co z nim się dzieje.

Bob wyszedł, zupełnie nie zwracając uwagi na stojącą obok Josey.

Podeszła do stołu i przyjrzała się psu. Był to niewielki, biało-czarny kundel, miał kudłatą sierść i wesoło zawinięty do góry ogon. Leżał zupełnie nieruchomo.

– Myślisz, że wyjdzie z tego? – spytała, nieświadomie powtarzając pytanie farmera.

Tom pochylił się nad niewielkim pacjentem i delikatnie zbadał palcami jego drżące ciało.

– Nie wiem – odpowiedział po chwili na pytanie Josey. – Podejrzewam, że to niestety peritonitis. Może mieć przebite jelito. Muszę otworzyć jamę brzuszną i zobaczyć, co się stało.

– Czy mogę ci jakoś pomóc? – spytała Toma.

– Po prostu usiądź przy stole i uważaj na niego – polecił, jednocześnie zręcznie wprowadzając igłę do żyły psa. Po chwili podłączył kroplówkę. – Przed operacją chcę spróbować wyrównać poziom płynów w organizmie. Pilnuj, czy równo oddycha, i daj mi znać, jeśli dźwięki zmienią kolor.

Josey skinęła głową. Była zadowolona, że choć tyle może zrobić. Przynęła taboret i usiadła przy stole.

– Trzymaj się, Shep – powiedziała, głaszcząc niewielką, kudłatą główkę. – Nie poddawaj się, stary. Pomyśl tylko o wszystkich tych cudownych kościach, jakie na ciebie jeszcze czekają.

Podczas gdy Tom operował, Josey z prawdziwą fascynacją obserwowała jego piękne dłonie. Każdy ruch Toma był zręczny i celowy. Zniknęła gdzieś jego niecierpliwość. Otworzył radio i operował, słuchając uspokajających dźwięków koncertu skrzypcowego Rachmaninowa. Piesek leżał uspiiony na stole, zupełnie nie wiedząc, co się z nim dzieje.

Tom operował w takim skupieniu, że koniec zabiegu zupełnie zaskoczył Josey.

– No, to chyba powinno mu pomóc – powiedział, przeciągając się w ramionach. – Jak wygląda?

– Dobrze – uspokoiła go Josey. – Czy wyzdrowieje?

– Trudno jeszcze powiedzieć. Gdyby Bob przyniósł go później, z pewnością by tego nie przeżył. Za parę godzin się okaże, czy wyjdzie z tego. Teraz położę go w kojcu dla chorych i wkrótce się przekonamy, co z nim będzie. Chodź, stary – powiedział, delikatnie głaszcząc psa po łbie. – Jeszcze chwila i będzie po wszystkim.

Niezwykłe troskliwie wziął psa na ręce i zaniósł do drugiego pokoju. Była tam już inna pacjentka, młoda kotka. Na widok Toma gniewnie parsknęła, wyraźnie dając mu do zrozumienia, że nie lubi siedzieć w klatce.

– Spokojnie, Tuppence. Wiem, że już pora na obiad – odezwał się Tom uspokajającym głosem.

Wzdłuż ściany stał cały szereg drewnianych kojców dla psów. Po chwili Shep leżał już na wygodnym pościeliu. Tom upewnił się, że język nie utrudnia mu oddychania. Josey pochyliła się nad pieskiem.

– Ma drgawki – zauważyła niespokojnie. – Czy nic mu nie jest?

– Coś mu się śni – roześmiał się Tom. – Pewnie ugania się po łące za królikami. To dobry znak. Zaczyna już przytomnieć po narkozie.

– Och – Josey zdobyła się na uśmiech. – Nie wiedziałam, że psy również śnią.

– Wszyscy o czymś śnią – odrzekł Tom.

Stał tak blisko, że Josey czuła prowokujący zapach jego ciała. Jej serce od razu przyśpieszyło swój rytm. Josey odsunęła się nieco. Bała się, że Tom zauważy jej podekscytowanie.

– Napijesz się kawy? – spytała, próbując ukryć zakłopotanie.

– Świetny pomysł.

– Zaraz zaparzę – powiedziała i uciekła do kuchni. Niestety, okazało się, że jedną ręką nie jest łatwo nalać wodę do czajnika. Josey nachlapała na

kredens. Próbując otworzyć pudełko z kawą, rozsypała ją na podłogę. W końcu zaklęła. Ze złości miała ochotę się rozplakać.

– Masz jakieś kłopoty? – usłyszała nagle głos Toma. Stał w drzwiach i patrzył na nią z uśmiechem.

– Nie mogłam zdjąć pokrywki. Bardzo przepraszam, ja... – urwała. Wiedziała, że jeszcze chwila i zrobi z siebie kompletną idiotkę.

– Hej, uspokój się – powiedział Tom i nieoczekiwanie podszedł do niej, objął ją ramionami i przyciągnął do siebie. – To przecież nic ważnego – pocieszył Josey. – To tylko trochę kawy.

Josey wiedziała, że Tom po prostu próbuje ją uspokoić, ale nie mogła nic na to poradzić – dotknięcie jego mocnych ramion i męski zapach skóry podsycały płomienie jej fantazji. Podniosła głowę i rozchyliła wargi, zupełnie tak, jakby oczekiwała pocałunku.

W oczach Toma pojawił się wyraz zaskoczenia. Przez chwilę oboje wahali się, co dalej. Wreszcie Tom uśmiechnął się i wypuścił ją z objęć.

– Lepiej tu posprzątam.

– Och, nie, sama to zrobię – zaprotestowała Josey. Czowała się okropnie zakłopotana.

– Może lepiej nie – powiedział Tom ze złośliwym rozbawieniem. – Najwyraźniej masz skłonności do wypadków.

– Zazwyczaj tak nie jest – zaprotestowała. Nie chciała, żeby Tom uznał, iż ma do czynienia z kompletną niezdarą.

– Nie przejmuj się, to żadna robota – odrzekł Tom, po czym wyciągnął spod zlewu ścierkę i wytarł podłogę. – Teraz ja zrobię kawę.

Josey rzuciła mu gniewne spojrzenie i usiadła przy stole. Tom znowu ukrył się w swej zwykłej skorupie, a jednak... Nie miała wątpliwości, że ten błysk w jego oczach nie był przywidzeniem.

Pamiętaj lepiej, że już dawno żaden mężczyzna nie patrzył na ciebie choćby z cieniem zainteresowania, skarciła się Josey. Jednak przez kilka sekund miała wrażenie, że Tom chce ją pocałować.

Gdy Tom podał kawę, odzyskała już panowanie nad sobą. Podziękowała mu pewnym głosem.

– Jak ręka? – spytał, siadając naprzeciw niej.

– Och, nie najgorzej – odrzekła z przelotnym uśmiechem. – Jeszcze trochę boli.

– I tak miałaś ogromne szczęście – przypomniał jej.

– Wiem – zapewniła Josey i odważyła się spojrzeć na niego. – Zapewne powinnam zawiadomić o wypadku policję?

– Już to zrobiłem. Jack wpadnie tu porozmawiać z tobą, gdy tylko przyjdiesz do siebie.

– Jak sądzisz, czy oskarżą mnie o nieostrożną jazdę? – spytała niespokojnie.

– Wątpię – pokręcił głową Tom. – Prócz przydrożnego rowu tylko ty ucierpiałaś. Oczywiście, musisz zgłosić wypadek w zakładzie ubezpieczeń.

– Polisa należy do mojego męża – odrzekła Josey.

– To jego sprawa, mnie to nic nie obchodzi.

– Czy mimo to nie sądzisz, że powinnaś zadzwonić i poinformować go, co się z tobą dzieje?

– Jego to nic nie obchodzi – oświadczyła Josey.

– Co najwyżej będzie żałował, że przeżyłam wypadek zamiast zaoszczędzić mu kłopotów z rozwodem.

– Dlaczego się rozwodzicie? – spytał Tom. W jego głosie zabrzmiała nutka współczucia i zrozumienia. Josey nagle nabrała pewności, że on również przeżył rozwód.

– A dlaczego nie? – wzruszyła ramionami. – Colin chce się ożenić ze swą sekretarką. Czyż mogę stać na drodze szczęśliwym kochankom, gdy w dodatku mają mieć dziecko?

– Czy wiedziałaś, że mąż ma romans? – spytał ze zdziwieniem Tom.

– Oczywiście – powiedziała Josey, usiłując zachować cyniczny ton. Podejrzewała, że nie najlepiej jej to wychodzi. – Colin uwodzi wszystkie sekretarki. To jeden z jego czarujących zwyczajów.

Tom roześmiał się krótko.

– Czemu zatem nie rozwiodłaś się z nim już dawno?

– zapytał po chwili.

– Sama nie wiem – przyznała Josey. – Przypuszczam, że to była kwestia przyzwyczajenia. Poza tym nie miałam dokąd pójść.

– Nie masz żadnej rodziny?

– Nie... No, oczywiście, mam ojca, ale do niego nie mogłabym się przenieść. Nie jestem w najlepszych stosunkach ze swoją macochą.

– Mogłaś przecież wynająć jakieś mieszkanie.

– Tak, mogłam... – Josey wbiła wzrok w kubek z kawą. Jak mogła mu wytłumaczyć, iż Colin do tego stopnia zdołał zachwiać jej wiarę w siebie, że

po prostu nie mogła uwierzyć, iż sama da sobie radę? Teraz również nie była tego pewna, ale przynajmniej przez kilka następnych dni nie musiała się nad tym zastanawiać. Nie czuła się jeszcze dostatecznie dobrze, żeby przenieść się do hotelu.

Zapadła cisza. Josey czuła na sobie spojrzenie Toma. Miała wrażenie, że jakiś płomień pali ją od środka. Czy Tom zdaje sobie sprawę, co się ze mną dzieje? – pomyślała. Nie miała co do tego większych wątpliwości.

Nerwowym ruchem uniosła kubek. Smak kawy przypomniał jej o papierosach. Głód nikotyny sprawił, że aż zatrząsły jej się ręce. Zawadziła kubkiem o cukiernicę. Miała nadzieję, że Tom nie zwróci na to uwagi, ale oczywiście czekał ją zawód.

– Co się stało? – spytał.

– Rzuciłam palenie – odrzekła z uśmiechem, choć nie przyszło jej to z łatwością. – Ostatniego papierosa wypaliłam już trzy godziny temu.

– Doskonale – zaśmiał się Tom. – Tylko tak dalej. – Będę musiała – odrzekła Josey. W jej głosie zabrzmiała nutka rozpacz. – Skończyły mi się papierosy, a nie mam dość sił, żeby iść do sklepu.

– A ja z pewnością nie kupię ci papierosów – prostodusznie potwierdził jej przypuszczenia Tom.

– Nie zamierzałam cię prosić – oświadczyła dumnie Josey. – Jakoś wytrzymam.

– Dobrze ci to zrobi.

Tom uśmiechnął się do niej tak, że serce Josey zaczęło mocniej bić. Choć pochyliła głowę i starała się nie patrzeć mu w oczy, czuła na sobie jego spojrzenie. O czym on myśli? – zastanawiała się gorączkowo.

Nagle zadzwonił telefon i czar prysnął. Tom podszedł do aparatu, dając Josey szansę na wzięcie się w garść. Nie przysłuchiwała się rozmowie, ale przypadkowo usłyszała jakieś słowo i od tej chwili zaczęła już uważnie słuchać.

– Tak, Vanesso, zaprowadź ją do boksu i daj jej odpocząć. Wstąpię, jak tylko będę mógł, ale z tego, co mówisz, odnoszę wrażenie, że to nic poważnego.

Vanessa – czy to ta elegancka blondynka, która pojawiła się tu wczesnym popołudniem? Niezbyt długo zwlekała z wezwaniem go do siebie. Ciekawe, co będzie potem, gdy Tom już zbada jej konia? Josey nie miała wątpliwości, że nie chodzi tu o czysto zawodową wizytę weterynarza.

W stajni nie zabraknie im ciepłego, miękkiego siana... Oczyma wyobraźni Josey zobaczyła, jak Tom i Vanessa z nerwowym śmiechem tarzają się na sianie, gorączkowo rozpinając guziki swych ubrań.

Poczuła ukłucie zazdrości. Potrząsnęła głową usiłując pozbyć się tej wizji. Jesteś idiotką, skarciła się ze złością.

Tom odłożył słuchawkę i zbliżył się do stołu.

– Muszę wyjść – powiedział z kamienną twarzą. Jego głos również zabrzmiał zupełnie obojętnie.

– Och, oczywiście – przytaknęła z wymuszonym uśmiechem. – Zobaczymy się później?

– Bardzo w to wątpię – oświadczył prosto z mostu Tom. – Zapewne wrócę dość późno.

– Och! – Josey pomyślała, że przeczucie jej nie myliło. – Zatem dobranoc.

– Dobranoc.

Tom chwycił kluczyki do samochodu i wyszedł.

Gdy Josey obudziła się następnego ranka, świeciło słońce. Czowała się o wiele lepiej, choć wciąż jeszcze bolały ją ręce i nogi. Zdumiewające, jak szybko można się dostosować do nowych warunków, pomyślała, rozglądając się z przyjemnością po przytulnym pokoju. Miała wrażenie, że spędziła w tym pokoju całe życie.

Nie wiedziała, o której wrócił Tom, ponieważ wieczorem łyknęła kilka pigułek nasennych. Powtarzała sobie wielokrotnie, że to nie jej sprawa, czy Tom jest związany z tą kobietą. A jednak... Nie mogła powstrzymać się od myśli, że Tom zasługuje na coś lepszego. Oczywiście, chwilami bywał chłodny i arogancki, ale Josey wiedziała, że to tylko jedna strona jego charakteru. Poprzedniego dnia widziała, z jaką troską i cierpliwością walczył o życie małego pieska. Pomyślała, że Tom potrzebuje kobiety, która potrafiłaby wydobyć z niego tę stronę jego osobowości...

Takiej jak ty zapewne? – pomyślała z ironią. Josey wiedziała, że nie może już konkurować z taką elegantką, jak Vanessa. Nagle poczuła, że chce zapalić i przypomniała sobie, że niema ani jednego papierosa. Do diabła, jak ja przeżyję cały dzień bez palenia? – jęknęła w duchu.

Poprzez szparę w firankach widziała jaskrawe słońce i czyste, niebieskie niebo. Jak mogła nawet myśleć o zbezczeszczeniu takiego pięknego poranka

gryzącym dymem papierosów? Josey zwlokła się z łóżka, włożyła stary szlafrok w szkocką kratę, który pożyczył jej Tom, i podeszła do okna.

W Londynie często zatrzymywała się na ulicach, patrzyła na zabieganych, zdenerwowanych ludzi i myślała, że chciałaby mieszkać na wsi. Teraz miała to, o czym marzyła.

Dom Toma miał kształt litery L. W parterowym skrzydle mieściły się pomieszczenia kliniki weterynaryjnej. Niski mur otaczał brukowane, zabłocone podwórko. Poza nim, aż po horyzont, rozciągały się pola i łąki.

Norfolk to kraina czystego nieba, rozległych przestrzeni i spokojnych rzek. Josey wzięła głęboki oddech. Miała wrażenie, że czuje słony zapach odległego morza. Gdzieś w krzakach odezwała się gajówka, a wysoko nad polem przeleciała mewa.

Nagle coś przemknęło po dachu. Wzdłuż rynny biegła mała, czerwona wiewiórka. Choć trzymała w łapce coś do jedzenia, bez trudu zachowywała równowagę. Zatrzymała się na skraju dachu, przysiadła na tylnych łapkach i rozejrzała wokół malutkimi jak guziczki oczami, nasłuchując jednocześnie, czy nie grozi jej jakieś niebezpieczeństwo.

Josey znieruchomiała. Nie chciała spłoszyć wiewiórki. Nieoczekiwanie usłyszała, że ktoś otworzył drzwi do pokoju.

– Ssz... – szepnęła, unosząc do góry dłoń. Tom postawił na nocnym stoliku tacę ze śniadaniem i cicho podszedł do okna. Stał za plecami Josey.

Wiewiórka siedziała przez chwilę nieruchomo, przekrzywiając zabawnie łebek, po czym widocznie zdecydowała, że nic jej nie grozi, bo zabrała się do śniadania. Szybko poradziła sobie z orzechem.

– Ach, ta jest prawie oswojona – zaśmiał się cicho Tom. – Czerwone wiewiórki rzadko kiedy tak się zaprzyjaźniają z ludźmi, są znacznie ostrożniejsze od szarych. Ta jednak często przychodzi pod sam dom.

Tom stał tak blisko, że Josey czuła na karku jego oddech. Jej serce to zwalniało, to przyśpieszało swój rytm. Z trudem panowała nad sobą.

– Co jedzą wiewiórki o tej porze roku? – spytała.

– Czerwone jedzą orzechy laskowe i nasiona sosen – powiedział Tom. – Jadają również żołędzie, ale z jakichś niejasnych względów to im nie wystarcza. Nie potrafią się tak łatwo adaptować do nowych warunków jak szare. Właśnie dlatego zostały przez nie wyparte z większości dogodnych obszarów. Tutaj jednak udało im się przetrwać, widocznie otoczenie

wyjatkowo im odpowiada.

Josey pokiwała głową na dowód zainteresowania i próbowała dyskretnie odsunąć się od niego.

– O, przyniosłeś mi śniadanie... – wybąkała. – Bardzo ci dziękuję, ale niepotrzebnie się fatygowaleś. Mogłam przecież zjeść na dole.

– Chyba lepiej się dzisiaj czujesz – powiedział Tom, rzucając jej ironiczne spojrzenie. W jego głosie słychać było ton rozbawienia. – Wczoraj patrzyłaś na mnie tak, jakby śniadanie było czymś haniebnym.

– Bardzo przepraszam – zaczęła się usprawiedliwiać, ale zaraz przerwała. Zauważyła, że znów go przeprasza. – Przykro mi, to już się więcej nie powtórzy. – Przyjrzała się tacy. – O, Boże – westchnęła – Vi chyba naprawdę myśli, że powinnam utyć!

– Nie musisz jeść wszystkiego.

– Kiedy byłam mała – powiedziała Josey z rozmarzeniem – gdy zostawiłam coś na talerzu, mama opowiadała mi o głodującym dzieciach z Afryki, które marzą o tym, co ja chciałam wyrzucić.

– Czy zaproponowałaś jej zatem, żeby zrobiła paczkę i posłała jedzenie do Afryki? – zapytał Tom.

– Czy to właśnie poradziłeś swojej mamie? – spytała ze śmiechem Josey.

– Przypuszczam, że taką rozmowę z matkami odbyły wszystkie dzieci w tym kraju – odrzekł Tom.

Nagle Josey zaczęła zastanawiać się, jakim chłopcem był Tom. Z pewnością był bardzo inteligentny, inaczej nie zostałby weterynarzem. Wyobraziła sobie, że zadawał mnóstwo pytań i nigdy nie był zadowolony z niejasnych odpowiedzi. Musiał być nie lada jakim utrapieniem...

Szybki ruch Toma zupełnie ją zaskoczył. Dopiero po chwili zorientowała się, że chwycił z nocnego stolika fiolkę z tabletkami nasennymi.

– Do diabła, a to co takiego?

– To... moje pigułki nasenne. Daj mi je – poprosiła, próbując odebrać mu fiolkę. Tom uniósł wysoko rękę, tak żeby Josey nie mogła dosięgnąć.

– Pigułki nasenne? Po co ci to? Jak długo już je bierzesz?

– Och... jakieś trzy czy cztery lata.

– Trzy czy cztery lata?!

– Cierpię na bezsenność – wyjaśniła niepewnym głosem Josey.

Tom spojrzał na nią z góry swymi orzechowymi oczami.

– Niezła z ciebie ruina człowieka – powiedział z ironią.

Josey poczuła łyzy w oczach. W tej chwili niemal go nienawidziła.

– Oddaj mi fiolkę – zażądała. – Nie masz prawa zabierać mi lekarstwa.

– Wcale go nie potrzebujesz – stwierdził Tom. – Równie dobrze możesz spać bez pigułek. Bierzesz je wyłącznie z przyzwyczajenia.

– Owszem, są mi potrzebne – krzyknęła rozpaczliwie Josey. – Oddaj mi je!

– Nie! – Tom podrzucił fiolkę i złapał ją w powietrzu. – Teraz ja będę to kontrolował. Ile pigułek łykałaś co wieczór?

– D... dwie.

– Dobrze, dzisiaj wieczorem dostaniesz jedną. Zobaczmy, jak będziesz spała przez kilka najbliższych dni, po czym zredukujemy dawkę o połowę.

– Nie! – krzyknęła z przerażeniem. – Nigdy nie zasnę bez pigułek.

– Tak byłoby, gdybyś przestała je zażywać od razu. Stopniowe zmniejszanie dziennej dawki pozwoli twemu organizmowi dostosować się do zmiany. Myślę, że już wkrótce będziesz świetnie spała bez pigułek. Poza tym – dodał – co z tego, że nie będziesz dobrze spać? W najbliższej przyszłości nie masz nic szczególnie ważnego do załatwienia. Nic ci się nie stanie, jeśli nie prześpisz ośmiu godzin.

– Czy nie wystarczy ci, że rzuciłam palenie? – jęknęła Josey. Patrzyła na niego wrogo.

Tom zaśmiał się głośno.

– To wynik działania siły wyższej, a nie twojej woli – zażartował. – Po prostu brak ci sił, żeby pójść do sklepu po papierosy.

– To co z tego? – odrzekła Josey. – Tak czy inaczej, rzuciłam palenie, a o to tylko chodzi.

– Zapewne masz rację – przyznał z humorem Tom.

– Niewykluczone, że ten wypadek okaże się dla ciebie prawdziwym błogosławieństwem. Masz szansę zaprowadzić w swojej głowie odrobinę ładu. Teraz zjedz śniadanie. Muszę już iść, zobaczymy się później.

Tom wyszedł zabierając fiolkę z pigułkami nasennymi. Josey spojrzała z pretensją na tacę ze śniadaniem. Chętnie zademonstrowałaby swoje niezadowolenie, zupełnie ignorując jedzenie, ale była zbyt głodna. To zapewne wpływ świeżego powietrza, pomyślała siadając do śniadania. Dawno nie miała tak dobrego apetytu.

Josey nie potrafiła długo gniewać się na Toma za jego apodyktyczne zachowanie. Na myśl o jego uśmiechu natychmiast zapominała o gniewie,

co oczywiście było głupotą – czyż nie miała już dość aroganckich i władczych mężczyzn?

Tom jednak był zupełnym przeciwieństwem Colina. Colin manipulował nią i zmuszał do pewnych rzeczy, kierując się wyłącznie własnym interesem, tak aby w ich życiu wszystko przebiegało zgodnie z jego życzeniami. Tom natomiast robił to dla jej dobra.

Tom dotrzymał słowa i dał jej wieczorem tylko jedną pigułkę. Josey nigdy by tego nie przyznała, ale przekonała się, że miał rację. Co prawda kilka razy się budziła, ale za to rano nie bolała ją głowa.

Powoli znikwały również konsekwencje wypadku. Pozostało jej jeszcze parę siniaków i bolący nadgarstek, ale mogła już w miarę swobodnie się poruszać. Okazało się również, że może wytrwać bez papierosów, choć chwilami doskwierał jej głód nikotyny.

Tego dnia Tom nie przyniósł jej śniadania. Już poprzedniego wieczoru uprzedził ją, że rano będzie musiał wcześniej wyjść, aby objechać okoliczne farmy i dokonać rutynowego badania krów, wymaganego przez ministerstwo rolnictwa. Josey zjadła śniadanie w przytulnej kuchni, gawędząc przy tym z Vi.

Bez dyskretnej pomocy Jethro z pewnością nie zdołałaby zjeść przygotowanego przez Vi jedzenia. Jethro podszedł cichutko do niej, gdy tylko Vi odwróciła się w stronę kredensu, żeby wyjąć czajnik. Przełknął jajecznicę na bekonie tak szybko, że pewnie nawet nie zdążył poczuć, jak smakuje.

– O, taki widok lubię! – wykrzyknęła Vi na widok pustego talerza. – Zobaczysz, jeszcze cię trochę utuczemy.

W tej chwili otworzyły się drzwi prowadzące do kliniki i w kuchni pojawiła się młoda dziewczyna w zielonym kitlu. Rozejrzała się wokół i zatrzymała wzrok na Josey. Patrzyła na nią z nie skrywaną wrogością. Och, następna, westchnęła w duszy Josey i postarała się ukryć ironiczny uśmiech.

Gdy przyjrzała się nieznajomej, stwierdziła, że nie jest taka młoda, jak sadziła w pierwszej chwili.

Z pewnością miała dwadzieścia parę lat. Ogromna grzywa brązowych włosów niemal przesłaniała jej niewielką twarz. Dziewczyna przypominała nerwową myszkę wyglądającą z krzaków. Gdyby obcięła włosy, byłaby całkiem niezła, pomyślała Josey.

– Czy jest tu Tom? – zwróciła się do Vi.

– Dobrze wiesz, że go nie ma – odrzekła niecierpliwie gospodyni. – Dzisiaj ma badania kontrolne.

– Och... – westchnęła dziewczyna. Widać było, że Vi nie bardzo ją lubi. – Gdzie jest ścierka i szczotka?

– W magazynku, tam gdzie zawsze.

Dziewczyna kiwnęła głową, raz jeszcze nieprzychylnie spojrzała na Josey i wyszła.

– Co za idiotka! – westchnęła Vi. – Chodzi i wciąż wzdycha. Tylko denerwuje biednego Toma.

– Kim jest ta dziewczyna? – spytała Josey.

– To Sandra, asystentka Toma. Kłopot polega na tym, że wbiła sobie do głowy, iż jest w nim zakochana. Tom dawno by się jej pozbył, ale tu, na wsi, trudno znaleźć wykwalifikowanego asystenta.

– Och... – pokiwała głową Josey. – Poczekaj, ja to zrobię – dodała pośpiesznie, widząc, że Vi zabiera się do sprzątnia.

– Siedź na miejscu – nakazała Vi. – Twój przegub musi się jeszcze wygoić. Poczekaj, aż lekarz powie, że już można zdjąć gips.

– Nie cierpię siedzieć i patrzeć, jak inni pracują – zaprotestowała Josey. – Może mogłabym ściąć kilka kwiatów i przynieść je do domu? Te róże przed domem pachną po prostu cudownie.

– Oczywiście – uśmiechnęła się Vi. – Wspaniały pomysł. Od kiedy ona wyjechała, nie mieliśmy kwiatów w domu.

– Masz na myśli żonę Toma? – spytała. Miała nadzieję, że jej głos nie zdradził rzeczywistego zainteresowania.

– Tak, mówiłam o niej – potwierdziła Vi z nie skrywaną pogardą. – Nigdy nie była zadowolona z życia na wsi. Wciąż zawracała Tomowi głowę, żeby zabrał ją z powrotem do Londynu.

– Tak? Pochodziła z Londynu? – badała dalej Josey.

– Tom poznał ją w czasie studiów – pokiwała ponuro głową Vi. – Zapewne całkiem ładna, ale nie nadawała się na żonę dla Toma. Tom zamierzał zaraz po dyplomie wrócić tutaj i przystąpić do spółki z wujem, ale ona namówiła go, żeby zostali w Londynie.

Vi już się rozkręciła. Josey nie musiała jej zachęcać, wystarczyło, żeby kiwała w odpowiednich chwilach głową.

– Oczywiście, to nie mogło się dobrze skończyć. Każdy widział, że w

mieście Tom czuł się okropnie. On nie jest stworzony do takiego życia. Wytrzymał tam cztery lata, aż wreszcie miał dość i wrócił na wieś.

– A więc to on ją zostawił? – spytała Josey.

– Nie, skąd! – pokręciła głową Vi. – Ona przyjechała z nim, ale już po trzech miesiącach narzekała, że się nudzi. Strasznie się kłócili. Później spotkała jakiegoś architekta, który przyjechał tu remontować stary wiatrak w Saltham Marsh, spakowała manatki i gdzieś z nim zniknęła.

Ta jego żona musi być straszną idiotką, osądziła w myślach Josey. Z trudem mogła uwierzyć, że ktoś może woleć szare bruki Londynu od tego zielonego, wiejskiego raj. No i jakaż normalna kobieta mogła rzucić takiego mężczyznę jak Tom Quinn?

Rozdział 4

Gdy Vi skończyła pracę, Josey zaczęła się nudzić. Wstąpiła do kliniki zobaczyć, jak się czuje Shep, ale Sandra dała jej wyraźnie do zrozumienia, że nie życzy sobie żadnych intruzów. Josey wróciła do części mieszkalnej i próbowała zabić czas, czytając stare magazyny i gapiąc się w telewizor.

Tom wrócił do domu późnym popołudniem. Jethro zaczął podskakiwać i drapać drzwi, nim jeszcze Josey cokolwiek usłyszała.

Tom wyglądał na znużonego. W rękach niósł dwa wielkie termosy. Skaczący z radości Jethro utrudniał mu wejście do domu.

– Siad! – rzucił rozkaz Tom. Collie natychmiast przysiadł na podłodze, gotów do spełnienia dalszych poleceń.

– Mogę ci pomóc? – spytała Josey, podchodząc do drzwi i wyciągając rękę po jeden z termosów.

– Dam sobie radę – pokręcił przecząco głową Tom. – Muszę je wstawić do lodówki w klinice.

– Przytrzymam ci drzwi, żebyś mógł przejść.

– Powiedziałem, że dam sobie radę! – burknął.

– W porządku, nie musisz tak krzyczeć – odcięła się. – Wystarczy proste „nie, dziękuję”.

– Bardzo przepraszam – powiedział Tom. W pierwszej chwili wyglądał na zaskoczonego jej reakcją, ale zaraz uśmiechnął się przeproszająco. – Badania na brucellozę nie są moim ulubionym zajęciem, ale ktoś to musi zrobić. Mogłabyś zaparzyć kawę?

– Oczywiście – gdy Tom tak się uśmiechał, Josey mogła mu wszystko wybaczyć. Uciekła szybko do kuchni, nim Tom zdążył zauważyć, że się zarumieniła.

Tym razem poradziła sobie bez trudu z czajnikiem i puszką kawy. Gdy zaniósła kubek do biura, Tom przeglądał właśnie gruby plik rachunków.

– Dziękuję... Postaw kubek na jakimś wolnym miejscu – powiedział, nie unosząc nawet głowy.

Josey rozejrzała się wokół. W jej oczach pojawił się błysk ironicznego rozbawienia. W biurze panował nieopisany bałagan. Wszędzie leżały sterty papierów i dokumentów. Organizacja pracy biurowej z pewnością nie należała do mocnych stron Toma!

– Mogę ci w czymś pomóc? – spytała ostrożnie, pamiętając, jak gwałtownie odrzucił przedtem propozycję pomocy.

– Czy potrafisz segregować i rejestrować dokumenty? – spytał niechętnie.

– Oczywiście! Mówiłam ci przecież, że przez osiem lat byłam sekretarką!

– No, te wszystkie papiery należałoby jakoś uporządkować – przyznał Tom. – Jeśli masz ochotę trochę tu posprzątać, będę ci bardzo wdzięczny.

Josey kiwnęła głową na znak, że przyjmuje wyzwanie. Czekala ją niełatwa praca. Na pierwszy rzut oka spostrzegła, że dokumenty poniewierają się wszędzie bez ładu i składu.

– Przecież niektóre z tych pism pochodzą sprzed wielu miesięcy! – wykrzyknęła zdumiona. – Jeśli nie masz czasu na papierkową robotę, dlaczego nie zatrudnisz kogoś, kto mógłby cię wyręczyć?

– Jak myślisz, ile zarabia wiejski weterynarz? – spytał sarkastycznie Tom.

– W takim razie czemu Sandra się tym nie zajmie?

– Sandra ma dość innych zajęć. Prócz tego – dodał, a jego ton wyraźnie sugerował, że w przeszłości doszło do jakichś scen – nie mam ochoty, żeby się tutaj kręciła i zawracała mi głowę.

Josey z trudem skryła ironiczny uśmiech. Tom nie mógł jaśniej dać jej do zrozumienia, co sądzi o wszelkich przejawach uwielbienia ze strony kobiet.

– A nie obawiasz się, że ja będę zawracać ci głowę? – spytała pozornie lekkim tonem.

– Przecież przez osiem lat byłaś sekretarką! – odciął się Tom, zerkając na nią z rozbawieniem.

Josey spojrzała na niego zdziwiona. Dotychczas Tom nie zdradzał szczególnych przejawów poczucia humoru. To tylko zwiększało jego urok. Gdyby jeszcze nie był taki chłodny i pełen dystansu, byłby naprawdę wyjątkowo czarujący.

No, ale to chyba zrozumiałe, że jest tak ostrożny w stosunkach z kobietami, zreflektowała się Josey. Przecież z pewnością wiele dam pragnęłoby obdarzyć go swymi łaskami. Vanessa, Sandra, nawet ta ładniutka pielęgniarka w szpitalu – a to przecież z pewnością nie wszystkie.

Skoro poznał żonę podczas studiów, z pewnością był jeszcze bardzo

młody, dumiała Josey, rozpamiętując informacje uzyskane od Vi. Na pewno też bardzo ją kochał, skoro wytrzymał w mieście aż cztery lata, choć nienawidził życia miejskiego.

Patrząc na pochyloną głowę Toma, Josey uśmiechnęła się z ukrytym rozbawieniem. Tom przypominał jej uczniaka, który wolałby biegać po lesie, niż siedzieć w klasie. Nie mogła sobie wyobrazić, jak mógł zdobyć się na uprzejmość wobec miejskich damulek i ich rozpieszczonych faworytów. Praktyka miejskiego weterynarza z pewnością nie odpowiadała jego temperamentowi.

Praca przy boku Toma sprawiała jej przyjemność, choć niemal się do siebie nie odzywali. Kilka razy Josey musiała mu przerwać, żeby o coś zapytać.

Wkrótce znalazła sposób, by radzić sobie z dokumentami jedną ręką, z niewielką pomocą dłoni unieruchomionej opatrunkiem.

Z rozbawieniem zaobserwowała, że podczas pracy biurowej Tom wydaje z siebie niecierpliwe pomruki. Najwyraźniej ta cześć obowiązków najmniej mu odpowiadała. Josey zajrzała Tomowi przez ramię i stwierdziła, że to zupełnie rutynowe sprawy – rachunki, kwity i tak dalej.

– Może lepiej pokaż mi, co jest do zrobienia. Zajmę się tym sama jutro przed południem – zaproponowała.

– Dlaczego chcesz sobie zaprzętać głowę takimi bzdurami? – spytał sceptycznie Tom.

– Ponieważ chciałabym być użyteczna – wyjaśniła spokojnie. – Jesteś dla mnie bardzo uprzejmy i chciałabym ci się jakoś odwdziaczyć. Prócz tego – dodała – trochę się tu nudzę. Siedzę w domu i nie mam nic do roboty. Więc jak, zgoda?

– Zgoda – odrzekł Tom. Najwyraźniej bardziej mu odpowiadała interpretacja, zgodnie z którą to on wyświadczał jej uprzejmość, a nie odwrotnie. – Usiądź tutaj, pokażę ci, co jest do zrobienia.

Dzięki swemu biurowemu doświadczeniu Josey bez trudu pojęła, o co chodzi. Po dziesięciu minutach uznała, że wie wszystko, co powinna wiedzieć.

– Już rozumiem – powiedziała. – Zajmę się tym jutro rano. Skończę również segregować wszystkie te papiery.

– Dobrze. Dziękuję ci – Tom wykrztusił to z siebie z pewną trudnością. Najwyraźniej równie rzadko komuś dziękował, jak przepraszał. W tej samej

chwili pod dom zajechał jakiś samochód. Tom zerknął na zegarek. – To pewnie Hugh. Zostało nam parę minut do otwarcia kliniki. Możemy jeszcze napić się kawy.

– Zaraz zaparzę – zaproponowała Josey i pobiegła do kuchni.

Wielki zegar ścienny już dawno wybił piątą. Tom wyszedł z domu przed ósmą i teraz miał jeszcze przed sobą parę godzin pracy w klinice. Josey pomyślała z głębokim szacunkiem, że Tom musi bardzo lubić wykonywaną pracę. Poświęcał jej cały swój czas.

Pod tym względem przypominał Colina, który również zawsze pracował nad kolejnymi transakcjami. Nawet ich rzadkie wspólne wakacje były zazwyczaj związane z jakimiś podrózkami służbowymi. Ale na tym kończyło się podobieństwo między Tomem a Colinem. Co wynikało z wysiłków jej męża? Nic tylko dokumenty, umowy, faksy wypełnione liczbami z długimi szeregami zer. Colin nigdy nie uratował nikomu życia. Żaden mały, białoczarny kudłaty piesek nie zawdzięczał mu snów o polowaniu na króliki.

Josey postawiła na tacy kubki z kawą i zaniósła je do kliniki. Tom czekał na nią w pokoju kooperacyjnym. Towarzyszył mu wysoki, starszy mężczyzna. Byli do siebie tak podobni, że nawet nic o tym nie wiedząc, Josey bez trudu odgadłaby, iż są spokrewnieni. Razem badali Shepa.

– Dobra robota, mój chłopcze – stwierdził starszy mężczyzna, tak jakby Tom był wciąż jeszcze studentem. – O, kawa! – wykrzyknął radośnie, zwracając się w stronę Josey. – Znakomicie!

– Josey, pozwól, to mój wuj Hugh – dokonał prezentacji Tom. – Hugh, to Josey Rutherford.

– Ach, tak! – uśmiechnął się Hugh. – Dzień dobry, pani Rutherford. Bardzo się cieszę z poznania pani. Jak się pani czuje? Jak pani ręka? Tom powiedział mi, że miała pani wypadek.

– Och, czuję się o wiele lepiej, dziękuję panu – odpowiedziała z uśmiechem Josey. Hugh od razu przypadł jej do gustu. Miała wrażenie, że promieniuje z niego spokój i serdeczność. Z pewnością podobnie czuły chore i przestraszone zwierzęta. – Bardzo proszę, niech pan mi mówi po imieniu. Po prostu Josey.

– Josey – powtórzył i kiwnął głową. – To bardzo ładne imię. Pasuje do ciebie. – Hugh przerwał, wziął kubek kawy i wsypał dwie łyżeczki cukru. – Zatem jesteś kuzynką naszej starej Florrie Calder – zauważył z namysłem. – Zapewne teraz do ciebie należy jej dom. Czy już go widziałaś?

– Nie. Jak słyszałam, nie jest w najlepszym stanie – powiedziała Josey i zerknęła na Toma, ale z jego twarzy nie mogła nic odczytać. – Czy pan dobrze znał moją ciotkę?

– Starą Florrie? Owszem, dość dobrze. Zwykła trzymać w domu całą menażerię. Pełno tam było bezpańskich psów i kotów. – Hugh uśmiechnął się do swych wspomnień. – Często do niej wstępowałem, nawet bez wezwania. Prawdę powiedziawszy, jej szarlotka i jagodzianki stanowiły pokusę nie do odparcia. Nigdy więcej nie jadłem nic równie dobrego!

– Tak, pamiętam! – Josey przypomniała sobie, jak siedziała u ciotki i zajadała wielkie porcje domowego ciasta ze świeżą, wiejską śmietaną. – Jej ciasta po prostu rozpływały się w ustach.

– A jakie robiła ekierki! Nie wiem, według jakiego przepisu, ale były to najlepsze ekierki, jakich kiedykolwiek próbowałem.

Josey zaśmiała się głośno, jednocześnie próbując przypomnieć sobie, czy jako dziecko kiedykolwiek spotkała tego dżentelmena. Niestety, minęło już tyle lat, a jej wizyty u ciotki były rzadkie i krótkie. Mimo to czuła, że coś ją z nim łączy, tak jakby ona sama w jakiś sposób należała do tego miejsca. W każdym razie tylko o tym miejscu mogła powiedzieć, że choć w pewnej mierze jest z nim związana.

Rozległo się pukanie do drzwi i pojawiła się Sandra.

– Och, bardzo przepraszam, że przeszkadzam – powiedziała, patrząc z uwielbieniem na Toma. Obrzuciła Josey krótkim, wrogim spojrzeniem. Z pewnością zauważyła, że rywalka popija kawę z obydwoma panami i czuje się tu zupełnie swobodnie. – Czy mam... czy mam już przygotować salę zabiegową?

– Oczywiście – odpowiedział Tom. W jego głosie zabrzmiało zniecierpliwienie. – Rano nadeszły lekarstwa. Dlaczego nie schowałaś ich jeszcze do szafy?

– Bardzo przepraszam. – Biedna dziewczyna spojrzała na niego jak skarczone szczenię. – Myślałam, że będziesz chciał najpierw rzucić na nie okiem.

– To przecież zwykłe lekarstwa. Powinnaś sama sprawdzić, czy przesyłka jest zgodna z wysłanym zamówieniem.

– Dobrze, Tom – wymamrotała pokornie Sandra i wyszła, zamykając za sobą drzwi.

Tom usiadł i podniósł do ust kubek z kawą. Dopiero po chwili zauważył,

że Josey patrzy na niego z wyraźną przyganą.

– O co ci chodzi?

– Czy zawsze odzywasz się do ludzi w ten sposób?

– spytała Josey. Występując w obronie Sandry, zdobyła się na większą odwagę, niż gdyby chodziło o nią samą. – Słyszac cię, ktoś mógłby pomyśleć, że to jakaś kretyńka.

Tom spojrział na nią z takim zdumieniem, jakby nie zdawał sobie sprawy ze swego zachowania.

– To dlatego, że ona działa mi na nerwy. Nic tylko wzdycha, zamiast wziąć się do roboty – usiłował się tłumaczyć.

– To nie jest wystarczający powód, żeby zapominać o takich słowach, jak proszę i dziękuję – upominała go Josey.

– Bardzo przepraszam – powiedział Tom i zupełnie nieoczekiwanie serdecznie się uśmiechnął. – Na przyszłość spróbuję poprawić swoje maniere.

Jego pozorna skrucha rozśmieszyła Josey. Hugh obserwował całą scenę ze spokojnym zadowoleniem.

– No, chyba już pora, żebyśmy poszli zobaczyć, co nas dziś czeka – powiedział wstając z krzesła. – Cieszę się, że cię poznałem, Josey. Zobaczymy się jeszcze.

W miarę jak Josey przychodziła do siebie po wypadku, coraz częściej myślała, że powinna się wyprowadzić od Toma. Z pewnością we wsi aż huczało od plotek na jej temat. Jeśli Josey chciała tu zamieszkać i zależało jej na akceptacji mieszkańców, powinna jak najszybciej przenieść się do własnego domu.

W czasie tego weekendu Tom miał dyżur. Niemal całą sobotę był zajęty z powodu jakiegoś wypadku na jednej z farm, ale niedziela zapowiadała się spokojnie. Podczas lunchu Josey zdecydowała się chwycić byka za rogi.

– Myślałam właśnie... – zaczęła i zaraz urwała.

Tom uniósł głowę znad gazety. Siedział w wygodnym fotelu, wyciągnął przed siebie nogi, a Jethro zwinął się w kłębek u jego stóp. Josey nagle pomyślała, że chętnie spędzałaby w ten sposób każdą niedzielę...

– Czy masz dzisiaj trochę czasu? Jeśli tak, to czy mógłbyś mnie podwieźć do domu ciotki? Chciałabym zobaczyć, jak wygląda – wykrztusiła wreszcie.

Tom rzucił jej niechętne spojrzenie.

– Oczywiście, jeśli jesteś zajęty lub zmęczony...

– wyjąkała pośpiesznie.

– Nie, skąd! – zaprzeczył. Patrzył na nią wzrokiem pełnym lekceważenia. – Rzeczywiście, powinnaś zobaczyć ten dom. Może wtedy jeszcze raz przemyślisz swój zwariowany zamiar, żeby tam zamieszkać.

– Dziękuję – mruknęła w odpowiedzi. Postanowiła nie dyskutować w tej chwili o tym, czy powinna zamieszkać, czy też nie, w domku ciotki Florrie.

– Pójdę tylko na górę po kurtkę.

Josey niemal zupełnie zapomniała, jak wygląda dom ciotki. Pamiętała tylko, że stoi dość daleko od głównej drogi i jest otoczony drzewami. Dostrzegła go dopiero, gdy zatrzymali się przed bramą. W ciemnościach z pewnością nie zdołałaby go odnaleźć.

Dom wydał się jej znacznie mniejszy, niż pamiętała. Żywopłot, który kiedyś otaczał starannie utrzymany ogród, dawno już nie był strzyżony. Gałęzie drzew niemal całkowicie zasłaniały dach. Tylko staroświecki, wysoki komin wystawał ponad konary.

Tom zatrzymał samochód przed bramą. Josey wysiadła, a za nią wyskoczył Jethro. Drewniana brama zerwała się z zawiasów i leżała na trawie, która całkowicie zarosła wszystkie ścieżki w ogrodzie. Josey z trudem przedarła się przez chwasty i dotarła do drzwi.

Tom szedł w ślad za nią, trzymając ręce w kieszeniach. Josey starała się nie zwracać na niego uwagi, gdy z niechęcią patrzył na rozpadające się okna i dach. Niewątpliwie wymagały naprawy, ale ich stan nie wydawał się jej tragiczny.

– Mam gdzieś klucz – powiedziała Josey. – Adwokat przysłał go wraz z aktem notarialnym. Po prostu doczepiłam go do pozostałych kluczy. Dlaczego klucze zawsze spadają na samo dno torebki?

– spytała i zaśmiała się nerwowo. Wiedziała, że plecie głupstwa, ale nie mogła znieść pełnej napięcia ciszy.

Znalazła wreszcie klucze i otworzyła drzwi. Weszła do środka, niespokojnie rozglądając się na boki. Spodziewała się czegoś znacznie gorszego. Mimo iż na dworze świeciło słońce, w środku było zupełnie zimno. Czowała zapach wilgoci, ale gdy przewietrzyli dom, przykra woń uleciała.

Wnętrze domu wyglądało dokładnie tak, jak w dniu śmierci ciotki. Na

ścianach wisiały obrazy z drugiej połowy dziewiętnastego wieku, a na półce nad kominkiem stały liczne bibeloty. Gruba warstwa kurzu pokryła staroświecki, orzechowy sekretarzyk.

Rozglądając się wokół Josey czuła wyrzuty sumienia. Powinna była częściej odwiedzać ciotkę, a po jej śmierci od razu przyjechać i zrobić tutaj porządek. Ten dom służył cioci przez niemal siedemdziesiąt lat, a teraz wydawał się opuszczony i zaniedbany. Josey próbowała wyobrazić sobie, jak będzie wyglądało to wnętrze, gdy wstawi tu trochę mebli z wikliny i mnóstwo doniczek z kwiatami.

– Wiesz – powiedziała do Toma z rosnącym entuzjazmem – tu może być naprawdę bardzo przytulnie.

W odpowiedzi Tom tylko mruknął coś niewyraźnie. Josey zdecydowała, że nie będzie zwracać uwagi na jego upartą dezaprobatę. Przeszła przez pokój i znalazła się w ciemnym, niewielkim korytarzyku. Po lewej stronie znajdowały się dwie sypialnie. Nigdzie nie było widać łazienki, ubikacja zaś – jak przypomniała sobie teraz – znajdowała się na końcu ogrodu.

Po prawej stronie korytarza zauważyła kuchnię. Gdy tam zajrzała, aż jęknęła. To pomieszczenie wymagało czegoś więcej niż zmiany mebli! Przez dziurę w suficie prześwitywało niebo. Widocznie dach również wymagał naprawy. Ściany porastał grzyb, a z posadzki nie pozostała chyba ani jedna cała płytką. Kuchnia wymagała generalnego remontu. Josey pomyślała, że trzeba na to sporo pieniędzy.

Jak dotychczas, nie poświęciła zbyt wiele uwagi sprawom finansowym. Nie zastanawiała się nawet, jak będzie zarabiać na życie. Od wielu lat była na utrzymaniu Colina i nie myślała o pieniądzach.

Pomyślała nagle, że może wybić sobie z głowy marzenia o zamieszkaniu na wsi. W życiu nauczyła się tylko dwóch rzeczy: jak być żoną bogatego biznesmena i jak prowadzić biuro. Trudno będzie znaleźć na wsi posadę sekretarki.

Tom wszedł do kuchni. Wciąż trzymając ręce w kieszeniach, rozejrzał się po ścianach i suficie.

– Cóż, całkiem niezła ruina – powiedział sucho.

– Owszem – przyznała Josey. – Możesz sobie oszczędzić przypominania, że to właśnie mi mówiłeś.

– Nic podobnego nie powiedziałem – odrzekł Tom, ale jego ton wyraźnie wskazywał, że tak myślał.

– To prawda – zgodziła się z nim. – Mam jednak wrażenie, że bardzo ci się nie podoba mój pomysł, żeby tu zamieszkać.

– Nic mnie nie obchodzi, gdzie chcesz mieszkać – powiedział Tom, wzruszając ramionami. – Nie mam tylko ochoty, żebyś tu urządziła kolejny dom letniskowy. Już mamy ich dość w okolicy. Im więcej takich domków, tym wyższa cena gruntu i wyższe podatki. Wkrótce normalni mieszkańcy nie podołają temu i będą zmuszeni się wyprowadzić.

– Nie mam zamiaru zamieniać tego domu na domek letniskowy! – zdecydowanie stwierdziła Josey.

– Zamierzam tu zamieszkać na stałe.

– Zamieszkać na stałe? – Tom wybuchnął sarkastycznym śmiechem. – Bzdura. Teraz, owszem, wszystko wydaje się śliczne. Niebo jest niebieskie, a łąki zielone. Czy pomyślałaś jednak, jak tu będzie zimą? Czy wiesz, co to zima na wsi? Wszędzie przedostaje się wilgoć, która zamarza, i wszystko pokrywa lód. Drogi są zasypane śniegiem lub toną w błocie, rury zamarzają i często nie ma prądu. O dostaniu się do miasta trudno nawet marzyć.

– Jak zatem radziła sobie moja ciotka?

– Nie jesteś swoją ciotką. – Tom mówił tonem pełnym agresji. – Florrie tutaj się urodziła i wychowała. Znała trudy życia na wsi i umiała sobie z nimi radzić. To nie miejsce dla ciebie.

– Rozumiem – powiedziała Josey zimnym, opanowanym głosem. – Jestem intruzem, nie chcesz mnie tutaj. Czy to samo powiedziałaś swojej żonie? Czy dlatego cię rzuciła?

– Kto ci powiedział o Julii? – spytał gniewnie Tom.

– Jakie to ma znaczenie? – odpowiedziała Josey.

– Gdy pierwszy raz usłyszałam o niej, było mi cię żal. Myślałam, że to musiała być straszna baba. Teraz nie jestem już tego taka pewna.

– Możesz się nade mną nie litować – burknął Tom.

– Dobrze się stało, że się jej pozbyłem.

– Nie wątpię, że byłeś zadowolony. Tak naprawdę nie cierpisz kobiet, prawda?

– Owszem, lubię kobiety – odrzekł Tom. Patrzył na nią pociemniałymi z gniewu oczami. – Ale tylko w jednej sytuacji.

Zacisnął palce na jej ramionach i przyparł ją do starego zlewu. Josey nie mogła się wymknąć. Spróbowała odwrócić głowę, ale Tom chwycił ją za brodę i pocałował w usta tak mocno, że Josey musiała rozchylić wargi.

Usiłowała uwolnić się z jego objęć, ale Tom trzymał ją mocno. Poczwała w ustach jego język. Tom całował ją tak mocno i namiętnie, że Josey nie mogła mu się oprzeć.

Nagle straciła ochotę na stawianie oporu. Uniosła ramiona, objęła Toma za szyję i oddała mu pocałunek. Nigdy jeszcze nie czwała w swym wnętrzu takiej gorącej fali. Tom przyciskał ją do siebie tak mocno, że bez trudu wycwała jego podniecenie. Wiedziała, że Tom również może odczytać jej reakcje.

Po chwili uniósł głowę. Dyszał ciężko. Josey spojrzwała na niego niepewnie. Nigdy jeszcze nie przeżyła czegoś takiego. Zupełnie jakby to był jej pierwszy pocałunek. Tom spojrzwał na nią pytająco, ale nim cokolwiek powiedziała, usłyszeli, że ktoś idzie przez ogród, wołając Toma. Josey od razu rozpoznała ten głos.

– Halo? Czy jest tam kto?

Na twarzy Toma pojawił się grymas, którego Josey nie potrafiła rozszyfrować. Szybko odsunął się od Josey. Oboje usłyszeli czyjeś kroki. Josey pocwała, że się rumieni. Ogromnym wysiłkiem woli zmusiła się, żeby zachować spokój i wytrzymać konfrontację z kobietą, która po chwili pojawiła się w drzwiach kuchni.

Spotkały się już wcześniej. Vanessa rozejrzała się po kuchni swymi lodowatymi oczami. Z całą pewnością domyśliła się, co zdarzyło się tutaj przed chwilą.

– Och, przepraszam. Czy bardzo wam przeszkadzam? – spywała. W jej głosie słycać było jadowitą nutkę. – Byłam na przejażdżce konnej i zauważyłam twój samochód przed bramą. Wczoraj próbowałam dodzwonić się do ciebie, ale za każdym razem odpowiadała mi ta cholerna automatyczna sekretarka.

– Czego chcesz, Vanesso? – spywał spokojnie Tom, ale Josey widziała, że jest cały spięty.

Vanessa machnęła w powietrzu szpicrutą, tak jakby miała ochotę komuś przyłożyć.

– Chciałam cię zaprosić na bal w najbliższy weekend – odrzekła i zwróciła się do Josey. – Mówimy, że to bal, ale tak naprawdę to skromna impreza. Będzie tylko paru przyjaciół. Mam nadzieję, że ty również przyjdiesz – zaproponowała z lukrowatym uśmiechem.

Josey spojrzwała na nią badawczo. Do licha, dlaczego Vanessa

postanowiła ją zaprosić, skoro najchętniej posłałaby ją do diabła? Zapewne chciała skorzystać z okazji, aby zaimponować Tomowi swą urodą i elegancją. Uśmiechnęła się do Vanessy równie nieszczerze, jak ona.

– Jak to miło, że mnie zaprosiłaś – powiedziała uprzejmym tonem. – Chętnie przyjdę.

Tom rzucił jej pytające spojrzenie i zacisnął usta.

– Dzięki za zaproszenie, Vanesso – niemal warknął.

– Z przyjemnością przyjdziemy na bal, prawda, Josey?

– Doskonale. Zatem do najbliższej soboty.

Vanessa trzasnęła szpicrutą o wyglansowaną cholewę buta, obróciła się na pięcie i wyszła z kuchni.

Josey powoli wypuściła powietrze z płuc i dyskretnie odsunęła się od Toma. Wiele by dała za informację, co naprawdę łączy Toma z tą dumną blondynką.

Tom zerknął na nią kątem oka i znowu wepchnął rękę w kieszenie.

– No więc? – spytał oschle. – Czy już napatrzyłaś się na swój dom?

– Tak, dziękuję – odrzekła i uniosła dumnie głowę. Skoro Tom postanowił udawać, że ten oszałamiający pocałunek nigdy się nie zdarzył, to i ona nie zamierzała o tym mówić! Wyszła z kuchni, nie oglądając się na niego, i wróciła do samochodu.

Rozdział 5

Powoli mijało senne, letnie popołudnie. Josey leżała skulona na wielkiej sofie, w towarzystwie dwóch psów. Shep czuł się już lepiej i Tom pozwolił mu przenieść się z kojca do domu.

Leniwie kartkowała stare magazyny, które Vi znalazła w poczekalni. Jadła domowe ciasto i popijała gorącą herbatę. Słyszała bzyczenie trzmiela krążącego wokół rosnących przed domem róż. Pomyślała, że tak mogłaby żyć już zawsze.

Oczywiście, to nie był realistyczny pomysł. Wcześniej czy później będzie musiała uporządkować swoje życie. Nie mogła przecież zbyt długo siedzieć Tomowi na karku. Powoli traciła panowanie nad swoimi uczuciami, po wczorajszym pocałunku zaś...

Jakie to jednak miało znaczenie? Josey pomyślała, że nadaje temu pocałunkowi zbyt duże znaczenie. Przecież nie był to żaden romantyczny pocałunek. Tom ukarał ją w ten sposób za to, że odważyła się wspomnieć o jego żonie. Ta rana pewnie się jeszcze nie zabiłiła, pomyślała. Ciekawe, czy wciąż ją kocha?

Tom uprzedził ją, że o tej porze roku może mieć kłopoty ze znalezieniem wolnego pokoju w hotelu. W dodatku, przed rozmową z adwokatem Josey nie wiedziała, jaka jest jej sytuacja finansowa. Uznała, że jej reputacji we wsi nic już nie może zaszkodzić. Nic się nie stanie, jeśli zostanie u Toma jeszcze kilka dni.

Trzaśnięcie drzwi przerwało jej rozmyślenia. Oba psy uniosły łby, ale nie zaczęły szczekać. Czyżby to znowu Vanessa? – pomyślała. Przecież z pewnością wie, że o tej porze nie ma Toma w domu.

– Dzień dobry – usłyszała jakiś przyjazny, kobiecy głos. To z pewnością nie była Vanessa.

– Proszę wejść – powiedziała i usiadła na sofie. Na szczęście nie musiała wstawać, żeby otworzyć drzwi. Tom nigdy ich nie zamykał.

W kuchni pojawiła się ciemnowłosa kobieta, mniej więcej w tym samym wieku, co Josey.

– Cześć – powiedziała ciepłym, serdecznym tonem. – Mogę wejść? Mam na imię Helen, jestem bratową Toma.

– Ależ proszę – odrzekła natychmiast Josey. – Niestety, nie ma go w

domu.

– Nic nie szkodzi. Wstąpiłam, żeby porozmawiać z tobą. Przyniosłam ci trochę pism i książek. – Helen położyła na stole ciężką torbę.

– Bardzo dziękuję – ucieszyła się Josey. – Napijesz się kawy lub herbaty?

– Z przyjemnością. O, Vi znowu upiekła ciasto? Potrafię oprzeć się wszystkiemu, tylko nie tej pokusie!

– Zaraz ukroję ci kawałek – roześmiała się Josey.

– Ale bardzo cienki! – poprosiła Helen, wymownie klepiąc się po biodrach. – Kocham moje dzieci, ale obawiam się, że rodząc je zyskałam figurę prawdziwej chłopki.

– A ja na odmianę usiłuję trochę utyc – wyznała Josey. – Zabawne, że kobiety nigdy nie są zadowolone ze swojej figury.

– To wszystko przez te boginie z żurnali i magazynów – zauważyła Helen, wskazując na stary numer „Cosmopolitan”. – To one ustalają wzorzec.

– Mhm... – zgodziła się Josey, stawiając na stole herbatę. – Ale jednak podoba mi się fryzura tej dziewczyny z okładki. Ciekawe, jak ja bym wyglądała z takimi włosami? Zastanawiam się, czy ich nie ściąć.

– Myślę, że wyglądałabyś znakomicie – powiedziała Helen przyglądając się zdjęciu. – W miasteczku jest niezły fryzjer, możesz zadzwonić i umówić się z nim.

– Czy jest również jakiś sklep z ubraniami? – spytała Josey. – Muszę kupić coś odpowiedniego na przyjęcie. Nie wzięłam ze sobą żadnej sukni wieczorowej.

– Ach, idziesz na przyjęcie do Vanessy! – zaśmiała się Helen. – No, to koniecznie musisz kupić coś ekstra!

– Ale Vanessa powiedziała, że to będzie zupełnie nieoficjalne spotkanie – zdziwiła się Josey.

– Lepiej w to nie wierz – pokręciła głową Helen. – Ona z pewnością będzie odstawiona, jak na bal u królowej. Bardzo bym się ucieszyła, gdybyś utarła jej nosa.

– Och, to chyba niemożliwe – zaprotestowała skromnie Josey. – Ona... jest bardzo ładna.

– O, tak – zgodziła się Helen, ale w jej głosie wyraźnie zabrzmiała sarkastyczna nutka. – Prawdziwa piękność. Nigdy byś nie uwierzyła, że to

moja kuzynka, prawda?

– Vanessa to twoja kuzynka?! Och... – westchnęła Josey z wyraźnym zakłopotaniem.

Helen parsknęła śmiechem.

– Możesz się nie martwić – zapewniła ją pośpiesznie. – Nie muszę jej lubić tylko z tego powodu, że jest moją kuzynką. Prawdę mówiąc – przyznała – jako dziecko była bardzo miła. Dopiero gdy została lady Fordham-Jones, stała się zupełnie niemożliwa.

– Lady Fordham-Jones? – powtórzyła Josey z rozbawieniem, ale równocześnie szybko wyciągnęła właściwe wnioski z tej informacji. Powinna była już wcześniej domyślić się, że Vanessa jest mężatką. To wyjaśniało, dlaczego Tom odnosił się do niej w tak ambiwalentny sposób. Choć zapewne bardzo mu się podobała, nie miał ochoty na romans z kobietą zamężną. – Nie wiedziałam, że zostałam zaszczycona zaproszeniem do tak arystokratycznego domu – dodała z ironią.

– To nie jest żadna wielka arystokracja – zapewniła ją Helen. – Gerald jest tylko baronetem. Straszny z niego szczeniak, ale jeśli ktoś chce nosić arystokratyczny tytuł i mieszkać w domu pełnym antyków, nie może zbytnio grymasić. Myślę jednak – wyznała Helen – że tu chodziło jeszcze o coś innego.

– Tak? – Josey zorientowała się już, że plotki stanowią główną rozrywkę mieszkańców tej okolicy.

– Zapewne nie powinnam ci tego mówić – zastrzegła się Helen – ale i tak ktoś by ci o tym powiedział. Myślę, że to dlatego, iż Tom ożenił się z Julią. Wszyscy uważali, że Vanessa wyjdzie za niego, gdy tylko Tom skończy studia. Dla niej był to jakiś sposób, żeby uratować twarz.

– Och... – Nagle wszystko zaczęło do siebie pasować. Niewiele brakowało, a Josey zaczęłaby współczuć Vanessie. Takie rozczarowanie musiało być dla niej strasznym przeżyciem. – Słyszałam o Julii – zauważyła obojętnym tonem. – O ile zdołałam się zorientować, niezbyt długo tu zabawiała.

– Zniknęła po pięciu minutach! – prychnęła Helen.

– Gdy zobaczyłam ją po raz pierwszy, od razu pomyślałam, że Tom chyba zwariował, skoro ożenił się z taką kobietą. Niestety, to prawda, że była wyjątkowo piękna, a postępowaniem młodych mężczyzn rządzi nie głowa, ale coś zupełnie innego!

Josey parsknęła śmiechem i pokiwała głową na znak zgody. W duchu dodała, że nie tylko młodzi mężczyźni pozwalają na to, żeby czysto fizyczne pragnienia kierowały ich zachowaniem. To może się zdarzyć również trzydziestoletniej kobiecie.

– Vanessa musiała czuć się okropnie – powiedziała.

– Skąd mogła wiedzieć, że małżeństwo Toma rozpadnie się tak szybko? Gdyby trochę poczekała...

– To prawda... – przyznała Helen. Skłoniła głowę na prawe ramię i spoglądała na Josey spod oka. – Pamiętaj, że ona jeszcze nie zrezygnowała. Wciąż ugania się za Tomem. Możesz się jednak nie martwić – dodała poważnie – Vanessa traci czas. Tom w żadnym wypadku nie zdecydowałby się na romans z mężatką, a w dodatku przyjaźni się z Geraldem.

– Posłuchaj, ja... Myślę, że powinnam ci to wyjaśnić. Ja również nie jestem związana z Tomem. Spotkaliśmy się kilka dni temu. Miałam wypadek...

– Tak, wiem – przerwała jej Helen z uśmiechem.

– Złamałaś nadgarstek. Tom mi o tym opowiadał.

– Mam wrażenie, że Tom ma w zwyczaju ratowanie brzydkich kaczątek – zauważyła Josey, próbując się uśmiechnąć. – Opowiadał mi, że jako chłopiec często znosił tutaj zranione ptaki i króliki.

– To prawda – zaśmiała się Helen. – Nie jestem jednak pewna, czy ty należysz do tej kategorii. – Protesty Josey nie zrobiły na niej najmniejszego wrażenia.

– W każdym razie – zmieniła temat Helen – ja również chcę kupić nową suknię na bal u Vanessy. Może wybierzemy się razem do miasta? Teraz, gdy moje najmłodsze dziecko jest już w szkole, mam trochę swobody. Może w środę? Myślisz, że dasz radę?

– Tak, oczywiście – zgodziła się chętnie Josey.

– Bardzo ci dziękuję.

– To Norwich. Spójrz, widać wieżę katedry.

Josey wyjrzała przez okno samochodu. Rzeczywiście, widać było górującą nad miastem wieżę.

– Jest przepiękna – westchnęła. – Widać ją chyba z daleka.

– To druga co do wysokości wieża kościelna w Anglii – poinformowała ją Helen z prawdziwą dumą.

– No i oczywiście katedra stoi na wzgórzu.

– Zawsze myślałam, że Norfolk to teren płaski i nudny – przyznała Josey. – Teraz widzę, że wcale tak nie jest. To znaczy, nie jest nudny. Wystarczy spojrzeć na niebo. Nigdy dotąd nie zwracałam uwagi na niebo. Pewnie dlatego, że w Londynie jest przesłonięte dymem. Tutaj chmury ciągle się zmieniają. Mogę na nie patrzeć bez końca.

– Ja również – skinęła głową Helen i spojrzała na Josey z ukosa. – Chociaż spędziłam tu całe życie.

– Zerknęła na zegarek. – Na którą umówiłaś się z Oliverem? Na jedenastą? Mamy mnóstwo czasu.

– Cieszę się, że pojechaliśmy razem – wyznała Josey.

– Czuję się tak, jakbym się wybierała do dentysty.

– Nie bądź głupia – zaśmiała się Helen. – Olly jest naprawdę bardzo miły. Chodził do szkoły razem z moim Donaldem. Gdy już skończysz porządkować swoje sprawy, pójdziemy po zakupy.

Helen zaparkowała samochód w centrum miasta i zaprowadziła Josey do kancelarii adwokackiej. Po kilku minutach z gabinetu wyjrzał szczupły, niski mężczyzna w szarym garniturze.

– Pani Rutherford? – spytał. – Jestem Oliver Riley. Proszę, niech pani wejdzie. O, Helen, i ty tutaj? Dzień dobry – dodał ciepło. – Jak się masz? Jak dzieci?

– Wszystkie zdrowe, dziękuję.

Ta krótka wymiana pozdrowień pomogła Josey nieco się rozluźnić. Weszła do gabinetu. Prawdziwie profesjonalne obejście adwokata ułatwiło jej relację na temat swojego nieudanego małżeństwa. Myślała przedtem, że to będzie znacznie trudniejsze.

Gdy skończyła, pan Riley rozsiadł się wygodnie w fotelu i zdjął okulary. Położył je z pedantyczną ostrożnością obok kilku kartek z notatkami, jakie zrobił w trakcie opowieści Josey.

– No cóż, pani Rutherford – zaczął ze swobodną pewnością siebie. – Jak sądzę, bez trudu uzyskamy korzystne porozumienie. Z pani słów wynika, iż pomogła pani mężowi założyć firmę i była pani jej współdyrektorem. Oczywiście, mąż pani nie ma szans przejęcia inwestycji, których właścicielką jest pani.

– Ale Colin korzystał z mojego nazwiska wyłącznie ze względów podatkowych – przypomniała mu Josey.

– Niezależnie od tego, dlaczego to robił, jest to pani własność – powiedział adwokat. – Przygotuję pozew i wystąpimy o rozwód z powodu niewierności męża.

– Dziękuję panu – uśmiechnęła się Josey. – Bardzo bym chciała wkrótce z tym skończyć.

– To zrozumiałe. Myślę, że pani mężowi również zależy na czasie. Przecież dziecko jest już w drodze. Nie sądzę, żeby chciał się długo spierać w kwestiach finansowych.

– Pewnie nie... – Josey poczuła wyrzuty sumienia, że korzysta z sytuacji, aby zmusić Colina do zaakceptowania jej żądań. No, ale w końcu sam jest sobie winien, pomyślała. – A co z moimi kartami kredytowymi? Są mi naprawdę potrzebne. Muszę kupić trochę ubrań i jeszcze jakieś drobiazgi.

– Może z nich pani swobodnie korzystać – zapewnił ją adwokat. – To pani mąż musi je skasować. Dopóki tego nie zrobi, może pani ich używać.

– Rozumiem – powiedziała Josey i wstała z krzesła. Odetchnęła głęboko, próbując się odprężyć. – No, cóż, bardzo panu dziękuję, panie Riley.

– To ja pani dziękuję, pani Rutherford – odrzekł adwokat i również wstał. – Dam pani znać, jak tylko skontaktuję się z adwokatem pani męża.

– Doskonale – kiwnęła głową Josey i uśmiechnęła się nieśmiało. Czowała się szczęśliwa, że ta rozmowa już się skończyła. W poczekalni siedziała Helen.

– Skończyłaś? – spytała pogodnie.

– Na razie tak. Z przyjemnością napiję się kawy.

– Ja również. Później ruszamy na podbój sklepów.

– Na szczęście mogę korzystać z kart kredytowych – zaśmiała się Josey.

– Doskonale – w oczach Helen pojawiły się figlarne błyski. – Wobec tego możemy sobie poszaleć.

– No...

– Oczywiście że tak – przekonywała ją nowa przyjaciółka. – Po tym, co ci zrobił, możesz go oskubać do gołej skóry.

Gdy wróciły do domu, Josey od razu zauważyła, że przed bramą nie stoi land rover Toma. Znaczyło to, że nie ma go w domu. Ucieszyła się z tego. Chciała ochłonąć przed zademonstrowaniem mu swej nowej fryzury. Obciąła włosy bardzo krótko, na chłopaka, co zupełnie zmieniło proporcje jej twarzy. Dzięki zabiegom fryzjera włosy wydawały się teraz gęściejsze niż przedtem; odzyskały również swój naturalny rdzawy połysk.

– Ja muszę już jechać – powiedziała Helen, zatrzymując samochód przed domem Toma. – Trzeba odebrać dzieci ze szkoły.

– Tak, oczywiście, nie chcę cię zatrzymywać – uśmiechnęła się Josey. Spędziły razem cudowne przedpołudnie i Josey miała wrażenie, że się naprawdę zaprzyjaźniły. – Dzięki, że zabrałaś mnie do miasta.

– Nie ma za co! Do zobaczenia u Vanessy albo jeszcze wcześniej.

Josey zabrała z tylnego siedzenia torby z zakupami i wysiadła z samochodu. Gdy tylko otworzyła drzwi, obskoczyły ją radośnie szczekające psy. Szybko przemknęła na górę i schowała torby do szafy. Nie było to zbyt rozsądne, ale chciała, aby nowa suknia była dla Toma niespodzianką.

Gdy zeszła na dół, Tom jeszcze się nie pokazał. Zrobiła sobie kubek kawy i poszła do biura. Niewielki pokój zmienił się nie do poznania. Josey posegregowała już dokumenty i pochowała je do oddzielnych teczek. Wytarła również kurze i przyniosła z ogrodu bukiet róż. Nie była pewna, czy Tom docenia ogrom wykonanej przez nią pracy, bo ani słowem nie skomentował zmian, jakie nastąpiły w jego biurze.

Kończyła właśnie porządkować rachunki z poprzedniego tygodnia, gdy usłyszała warkot land rovera. Rozpoznawała go równie niezawodnie, jak Jethro. Słyszała, że Tom wchodzi do domu, ale nie przerwała pracy.

Po plecach Josey przebiegł nerwowy dreszcz. Słyszała odgłos zbliżających się kroków. Tom stanął w drzwiach biura, ale nie odezwał się ani słowem. Po chwili uniosła głowę i spojrzała na niego pytająco.

– Czy coś się stało? – spytała niespokojnie Josey.

– Och, nie... – wzruszył ramionami Tom. – Widzę, że zrobiłaś tu porządek.

– Jeszcze nie skończyłam. Wstawiłam wazon z różami, myślałam, że tak będzie ładniej. Jeśli to ci nie odpowiada, mogę je zabrać.

– Nie, niech zostaną. Widzę, że obcięłaś włosy – dodał jakby po namyśle. – Ładnie wyglądasz.

Tom wykrztusił ten komplement z takim trudem, że Josey nie miała wątpliwości co do jego szczerości.

– Dziękuję – uśmiechnęła się. – Byłam u fryzjera.

– Tak, wiem. Pojechałaś z Helen, prawda? Podejrzewam, że razem opróżniłyście wszystkie sklepy z ubraniami. Może się mylę?

– No, to pewna przesada – odpowiedziała Josey.

– Ale zrobiłyśmy wszystko, co w naszej mocy.

– Jak sobie radzisz z tymi papierami? – Tom nagle zmienił temat. Spojrzał na leżące na biurku rachunki.

– Już prawie skończyłam. To wcale nie jest takie trudne. Czemu nie korzystasz z komputera? – spytała, wskazując stojące w rogu pudło. Tom nawet nie wyjął komputera ze styropianowego opakowania. – Przyspieszyłyby to wszystkie prace biurowe.

– Och, nie mam ochoty zawracać sobie głowy komputerem – mruknął niecierpliwie Tom, unikając jej spojrzenia. – Więcej zachodu niż to warto.

– Z pewnością się mylisz. Gdy raz przygotujesz wszystkie programy, masz już robotę z głowy – nalegała Josey.

– Mam dość roboty bez tego.

– Ależ w ten sposób mógłbyś oszczędzić mnóstwo czasu. Odrobina wysiłku i...

– Czy przestaniesz wreszcie się wtrącać i pouczać mnie, jak mam prowadzić swoje sprawy? – wybuchnął Tom. – Do tej pory jakoś sobie radziłem.

– Chciałam tylko ci pomóc – zaprotestowała Josey.

– Widzę, że nawet nie mogę nic ci doradzić...

Wstała z krzesła i chciała wyjść z biura, ale Tom chwycił ją za rękę i zmusił, by odwróciła się twarzą w jego stronę. Przez chwilę mierzyli się gniewnymi spojrzeniami, ale po kilku sekundach Tom parsknął śmiechem. Josey patrzyła na niego zaskoczona.

– Nie potrafię obsługiwać tej cholерnej maszyny – wyznał wreszcie.

– Czemu od razu tego nie powiedziałaś? – spytała łagodnym głosem. – Nie masz się czego wstydzić, wielu ludzi nie potrafi posługiwać się komputerem.

– Próbowałem, ale to przechodzi moje możliwości – powiedział Tom i obdarzył ją uśmiechem.

– Zawsze robię coś źle. Może ty mogłabyś mnie nauczyć? – zaproponował, a w jego oczach pojawiły się błyski. Josey nie mogła odgadnąć, o co mu chodzi.

– Oczywiście.

Tom wciąż trzymał ją za rękę. Josey miała wrażenie, że jego palce parzą. Spróbowała się cofnąć, ale Tom na to nie pozwolił.

Oboje czub" w powietrzu jakieś dziwne napięcie. Tom powoli, lecz stanowczo, przyciągał ją do siebie. Czuła, jak jej serce bije coraz szybciej.

Tom powoli pochylił głowę i Josey poczuła na twarzy jego oddech.

Rozchyliła wargi i cicho westchnęła. Nie mogła uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Gdy poczuła na wargach jego usta, zamknęła oczy i całkowicie poddała się magii chwili. Przestała się zastanawiać, czy to sen, czy rzeczywistość.

Tom wziął ją w objęcia i z całej siły przytulił do siebie. Josey czuła na ustach szybkie ruchy jego warg. Po chwili Tom zaczął badać językiem wszystkie słodkie zakątki jej ust... Pod wpływem tej zmysłowej pieczy Josey poczuła, że traci kontrolę nad reakcjami swego ciała...

Nagle rozległ się dzwonek do drzwi. Oderwali się od siebie.

– To pewnie Bob przyszedł po psa – powiedział Tom i nawet na nią nie spojrzawszy poszedł do kliniki.

Josey stała przez chwilę nieruchomo. Co się właściwie stało? Ostatnio Tom wydawał się tak odległy i zimny, że Josey zaczęła już podejrzewać, iż ten pocałunek w domku ciotki był wyłącznie złudzeniem. Ale teraz... To, co zdarzyło się przed chwilą, z pewnością nie było wytworem fantazji. Czuła jeszcze na wargach ciepło jego ust.

Może to z powodu nowej fryzury, pomyślała bezsensownie. A może dlatego, że wracam do zdrowia? W każdym razie nie wiedziała, jak sobie poradzić z nieoczekiwanym zwrotem w ich stosunkach.

W ciągu paru ostatnich lat Josey przywykła uważać się za coś w rodzaju kobiecego eunucha. Uznała, że jest całkowicie pozbawiona atrakcyjności seksualnej. Teraz nieoczekiwanie zaczęła się wydostawać z tej skorupy, ale Tom był przecież dla niej najgorszym z możliwych partnerów. W tej chwili Josey potrzebowała kogoś, kto byłby równocześnie kochankiem i przyjacielem. W żadnym wypadku nie chciała przeżywać nieustannej huśtawki płomiennych pocałunków i zimnych, nieprzyjaznych docinków.

Josey pomyślała, że już najwyższa pora, żeby zrobić to, co nakazywał rozsądek: poszukać hotelu, w którym mogłaby zamieszkać, dopóki dom ciotki Florrie nie zostanie wyremontowany.

Tom przyprowadził Shepa z domu do kliniki, gdzie czekali już na niego właściciele: młody farmer, jego żona i dwóch synów. Kobieta patrzyła na Josey z nie skrywaną ciekawością, natomiast dwaj chłopcy byli zbyt podnieceni, żeby dostrzec cokolwiek poza ukochanym psiakiem, który wesoło podskakiwał.

– Shep! Czy już wyzdrowiał? – pytali na przemian, klęcząc na podłodze i głaszcząc psa.

– Jest zdrow, ale jeszcze przez kilka dni nie powinien zbyt wiele biegać i podskakiwać. Musicie pamiętać, że on był naprawdę bardzo chory.

Chłopcy pokiwali głowami, pieszcząc jednocześnie pieska. Shep z zapalem lizał ich twarze.

– Dziękujemy panu – szepnęli chórem, tak jakby Tom był cudotwórcą.

Josey stała w drzwiach biura i przyglądała się tej scenie. To rzeczywiście zakrawało na cud, że Tom przemienił smutne, cierpiące zwierzę w wesołego kompana dziecięcych zabaw.

– Dam ci trochę antybiotyków – powiedział Tom do Boba. – Dawaj mu jedną tabletkę rano i jedną wieczorem. Przyjdźcie w poniedziałek pokazać mi psa.

– Dziękuję, Tom – odrzekł Bob. Patrzył z uśmiechem na swych rozradowanych synów. – Ile ci jestem winien?

Podeszli do biurka uregulować rachunki. Josey uśmiechnęła się do żony Boba.

– Chłopcy kochają tego psa, prawda? – zauważyła.

– Tak... bardzo... – wybąkała kobieta, najwyraźniej wielce zakłopotana. – Chodźcie, chłopcy, weźcie Shepa do samochodu. Do widzenia, Tom. Eee... do widzenia – dodała patrząc na Josey.

– Do widzenia.

Josey pomyślała, że będzie jej brak Shepa. W ciągu tych kilku dni zdążyła go polubić. Może na tym polega mój problem, powiedziała sobie w duchu. Za bardzo chcę znaleźć kogoś, kogo mogłabym kochać.

Tom zachowywał się tak, jakby scena z pocałunkiem nie miała dla niego żadnego znaczenia. Przeszedł koło niej i skierował się do biurka. Wyciągnął szufladę i schował złożony na pół czek.

– Zrobione – uniósł głowę i spojrzał na Josey.

– Muszę jeszcze odwalić trochę papierkowej roboty – powiedział niecierpliwie. – Zobaczymy się później.

Josey kiwnęła głową. Czuła w sercu zupełną pustkę. Znowu rozdzieliła ich głęboka przepaść, zbyt szeroka, aby mogła ją sama pokonać.

Niestety, okazało się, że Tom miał rację przewidując, iż trudno jej będzie znaleźć pokój w hotelu. Obiecano jej, że w najlepszym wypadku wolny

pokój znajdzie się po niedzieli. Dlatego w sobotę Josey wciąż jeszcze zajmowała pokój w domu Toma.

Nadszedł wieczór. Pora, żeby przygotować się do pójścia na przyjęcie do Vanessy. Przejrzała się w wiszącym na ścianie staromodnym lustrze. Nie była pewna, czy wybrała odpowiednią kreację.

Wyglądała rzeczywiście wystrzałow. Miała na sobie obcisłą bluzkę z czarnego jedwabiu, z głębokim dekoltem, oraz wąską, czarną spódnicę, opinającą jej kształtne nogi. Całość uzupełniało odpowiednie bolerko i sandałki na wysokim obcasie.

Opuszczając londyński dom, Josey na szczęście wrzuciła do torby część biżuterii. Dzięki temu mogła teraz wybierać ze sporej kolekcji naszyjników i klipsów. Zdecydowała, że najlepszy będzie prosty, złoty łańcuszek i klipsy w kształcie kół.

Martwiła się jednak, czy nie wybrała przypadkiem zbyt efektownego stroju. Co będzie, jeśli wszyscy prócz niej pojawią się w codziennych ubraniach? Na szczęście to Helen pomogła jej wybrać odpowiednią kreację. Josey zaufała jej zapewnieniom, że doroczny bal u Vanessy jest ulubioną okazją dla wszystkich dam z okolicy, żeby zaprezentować swoje najlepsze stroje.

Gdy zeszła na dół i zobaczyła Toma, od razu poczuła się pewniej. Tom miał na sobie czarny wieczorowy garnitur. Dobrze skrojone ubranie subtelnie podkreślało jego wspaniałą figurę.

Rozmawiał właśnie przez telefon z Hughiem, ale słysząc skrzypienie schodów, odwrócił się i spojrzał na Josey. Otworzył szeroko oczy ze zdumienia i umknął mu nagle wątek rozmowy.

– Bardzo przepraszam, Hugh, czy możesz powtórzyć? Co powiedziałeś?

Josey przeszła do kuchni. Czowała na plecach baczne spojrzenie Toma. Znowu straciła pewność siebie. Może jednak ta suknia jest zbyt efektowna? Niestety, nie miała w co się przebrać. Prócz tej kreacji kupiła tylko parę dzinsów i trochę innych ubrań do noszenia na co dzień.

Tom skończył rozmowę i odłożył słuchawkę. Josey wzięła głęboki oddech i odwróciła się w jego stronę.

– No więc? – spytała drżącym głosem. – Czy mogę tak iść?

– O, tak, z pewnością – odrzekł Tom, taksując ją wzrokiem. W jego spojrzeniu Josey dostrzegła wyraźne uznanie. – Z pewnością możesz tak iść.

– Dziękuję – wykrztusiła, lekko się rumieniąc. Wolała nie ryzykować

dłuższych wypowiedzi.

– Lepiej chodźmy – powiedział Tom nieco ochrypłym głosem. – Inaczej się spóźnimy.

Rozdział 6

W czasie jazdy do Vanessy oboje milczeli. Wyraźnie odczuwać narastające między nimi od paru dni napięcie seksualne. Josey pocieszała się myślą, że odkryła szczelinę w pancerzu, jaki nosił na co dzień Tom, ale równocześnie bardzo się denerwowała. Bała się, czym się to wszystko skończy.

Gdy dojechali, Josey przekonała się, że Cottisham Manor to okazały, kamienny dworek, otoczony pięknym, starannie utrzymanym ogrodem. Cała posiadłość znajdowała się na uboczu wsi. W blasku zachodzącego słońca dom wyglądał pięknie.

Równocześnie z **nimi** przyjechała Helen z mężem. Zaparkowali samochód tuż za land roverem Toma. Podobnie jak Hugh, Donald bardzo przypominał Toma, od razu zdradzając łączące ich pokrewieństwo. Jednakże pięć lat szczęśliwego życia rodzinnego zmiękczyło rysy twarzy Donalda i poszerzyło go w pasie.

Donald powitał Josey serdecznym uściskiem dłoni, ale zachował milczenie. Natomiast Helen niemal podskakiwała z podniecenia.

– Wyglądasz wspaniale – szepnęła Josey do ucha ze złośliwym zadowoleniem. – Gospodyni z pewnością poczuje, że nie jest niepokonana.

Vanessa osobiście otworzyła im drzwi. Wystarczyło jedno spojrzenie i Josey wiedziała już, że nie przesadziła z elegancją stroju. Gospodyni przyjęcia miała na sobie fantazyjną suknię z jasnoróżowego jedwabiu. Josey puściła Helen przodem.

Z rozbawieniem patrzyła, jak kuzynki wymieniają nieszczerzy powitalny pocałunek. Tom chwycił ją za rękę i pociągnął do przodu. Zatrzymali się pod jaskrawym żyrandolem.

Josey nie mogła sobie życzyć bardziej efektownego wejścia. Tom trzymał ją za rękę nieco dłużej, niż to było konieczne, co oczywiście nie uszło uwagi Vanessy. Gospodyni również od razu doceniła elegancję jej stroju. Josey miała wrażenie, że powitalny uśmiech Vanessy został wykuty w kamieniu.

– Dobry wieczór, Vanesso – powitał ją Tom. W jego głosie słychać było ironiczne rozbawienie. Z pewnością zdawał sobie sprawę z potajemnej rywalizacji między obiema kobietami. – To bardzo miło, że zechciałaś nas

zaprosić.

– Och, bardzo proszę, wejdźcie. – Vanessa szybko odzyskała panowanie nad sobą. – Gerry podaje drinki w salonie. Znasz drogę, Tom.

– Dziękuję.

Tom poprowadził Josey do salonu. Gdy mijala Vanesse, wymieniły nieco wymuszone uśmiechy. Josey pomyślała z żalem, że nie ma najmniejszych szans na przełamanie lodów w stosunkach z Vanessa. Jednocześnie musiała przyznać, że widok Vanessy nie mogącej opanować zazdrości znakomicie podbudował jej pewność siebie.

Wnętrze domu świadczyło o dobrym guście i zamożności gospodarzy. Nawet jeśli niektóre ze starych mebli były podrabiane, to stolarz dobrze wykonał swą pracę. Grube firanki z ciężkiej satyny idealnie pasowały do koloru tapet.

W imponującym salonie zgromadziło się już sporo gości. Gdy weszli oboje, nagle wszyscy umilkli. Josey zauważyła zaciekawione spojrzenia zebranych. Każdy, kto na nich popatrzył, nie mógł mieć wątpliwości, iż są parą kochanków. Josey poczuła, że ogarnia ją gniew. Tomowi to z pewnością nie mogło zaszkodzić. Plotki mogły tylko zwiększyć jego popularność wśród okolicznych pań. Nie miała natomiast wątpliwości, że zostanie osądzona według zupełnie innych kryteriów. Bała się, że teraz będzie jej jeszcze trudniej zyskać akceptację mieszkańców tej małej osady.

Poczuła ulgę, gdy zobaczyła zbliżającego się do nich młodego, przystojnego mężczyznę o niebieskich oczach i jasnych włosach. Uśmiechał się tak serdecznie, że Josey miała ochotę go uściskać. Bez trudu domyśliła się, że to mąż Vanessy.

– Cześć, Tom, jak się masz? – radośnie powitał Toma i poklepał go po ramieniu. Zachowywał się trochę jak przerośnięty sztubak. – Cieszę się, że przyszedłeś.

– Cześć, Gerald. – Tom również uśmiechnął się wesoło. – Josey, to Gerald Fordham-Jones. Gerald, poznaj Josey Rutherford.

Gerald wyciągnął do niej rękę. W jego oczach widać było szczery podziw.

– Dobry wieczór – powitał ją ochoczo. – Jestem zachwycony, że mogę panią poznać.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odpowiedziała z uśmiechem Josey. Wydał się jej sympatycznym młodym człowiekiem. Helen nieco

przesadziła, opisując go jako szczeniaka, ale chłopięce maniery Geralda sprawiały, że wydawał się rzeczywiście bardzo młody. – Pan wybaczy, ale nie mogę się przywitać – dodała żartobliwym tonem i uniosła do góry rękę w gipsie. – To moja wojenna rana.

– Lepiej nie niszczyć mojej pracy! – Ktoś zaśmiał się za jej plecami. – Dobry wieczór, pani Rutherford. Jak się pani czuje?

Josey odwróciła się i przywitała z młodym lekarzem, pod którego opieką była w szpitalu.

– Proszę mówić mi po imieniu, bardzo panów proszę – powiedziała do doktora i Geralda równocześnie. – A mój przegub jest już w zupełnie dobrym stanie, wyłącznie dzięki panu. Mogę poruszać palcami. Proszę zobaczyć!

– Doskonale – ucieszył się lekarz. Patrzył na nią badawczym wzrokiem, tak jakby nie mógł uwierzyć, że w ciągu dwóch tygodni mogła nastąpić tak ogromna zmiana w jej wyglądzie. – Wyglądasz o niebo lepiej niż dwa tygodnie temu – dodał, a w jego głosie zabrzmiało najwyraźniej wcale nie zawodowe zainteresowanie jej osobą.

Josey zareagowała uśmiechem na ten komplement. Niemal już zapomniała, jaką przyjemność może sprawić niewinny flirt. Jeśli to nie przypało do gustu Tomowi, tym gorzej dla niego.

Tom nie był jedyną osobą niezadowoloną z efektu wywołanego pojawieniem się Josey. Vanessa również to zauważyła i zdecydowała się na interwencję.

– Kochanie, nie dałeś Tomowi i Josey nic do picia – upomniała męża. – Czego się napijecie? Wina? Szampana? A może czegoś mocniejszego?

– Dla mnie szklanka wody mineralnej – odrzekł Tom. – Josey?

– Och, nie mów tylko, że przez cały wieczór będziesz abstynentem! – zaśmiała się Vanessa. – Chyba nie masz dzisiaj dyżuru, prawda?

– Nie, ale obiecałem Hughowi, że będę pod telefonem, jeśli wydarzy się coś nieoczekiwanego. Na wszelki wypadek wolę zachować trzeźwą głowę.

– Boże... – westchnęła Vanessa i wydeła wargi. Zwróciła się do Josey. – Tom to straszny nudziarz. Myśli tylko o pracy. Wkrótce sama się przekonasz, co cię czeka.

– Doprawdy? – odpowiedziała spokojnie Josey, unosząc do góry jedną brew.

Chłodna odpowiedź Josey sprawiła, że trajkotanie Vanessy wydało się

zupełnie bezsensowne. Josey w duchu przyznała sobie kolejny wygrany punkt. Uznała, że ta rywalizacja nie ma najmniejszego sensu, ale nie mogła na to nic poradzić. To Vanessa zmusiła ją do walki.

– Simon, proszę, przynieś szklankę mineralnej dla pana Quinna – poleciła Vanessa służącemu w liberii.

– Obsłuż również panią Rutherford. Josey, masz wspaniałą suknię – dodała nieco kwaśnym tonem.

– Oczywiście, mając mały biust możesz sobie pozwolić na taki dekolt. Ja wciąż bym się bała, że pierś wysunie mi się zza dekoltu.

Vanessa roześmiała się jak młoda pensjonarka i zerknęła na Toma, żeby sprawdzić, czy dosłyszał aluzję do jej pociągających kształtów. Josey zauważyła, że Helen mruga do niej porozumiewawczo i robi gest kotki wysuwającej i chowającej pazury. Od razu poczuła się pewniej. Jeśli Vanessa próbuje jakichś złośliwości, to z pewnością czuje się zagrożona. Zrezygnowała więc z odpowiedzi na ten atak i tylko uśmiechnęła się zagadkowo.

– Hej, czemu siedzimy w salonie w tak piękny wieczór? – wykrzyknęła Vanessa. Zachowywała się tak, jakby nie mogła opanować nerwowego podniecenia. Palił ją jakiś ogień. – Chodźmy do ogrodu.

– Czy obejrzałaś już domek Florrie? – spytał lekarz, gdy wychodzili na dwór.

– Tak – kiwnęła głową Josey. – Nie jest w takim tragicznym stanie, poza kuchnią, rzecz jasna.

– Nim ktokolwiek będzie tam mógł zamieszkać, trzeba zrobić kapitalny remont – wtrącił Tom, takim tonem, jakby chciał uciąć tę rozmowę. Chwyił Josey za ramię i odciągnął ją na bok.

– Jak śmiesz się tak zachowywać? – syknęła gniewnie, gdy tylko znaleźli się na uboczu. – Dlaczego przerwałeś mi rozmowę?

– Czy zawsze się tak zachowujesz? – spytał Tom, patrząc na nią płonąco z gniewu oczami. – Zawsze zalecasz się do wszystkich obecnych mężczyzn?

– Nie bądź śmieszny – odcięła się Josey. – Do nikogo się nie zalecałam.

– Chodźmy zatańczyć.

Do tańca przygrywało trio muzyków. Kilka par już tańczyło na rozległym tarasie. Nim Josey zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, Tom chwycił ją w ramiona i przyciągnął do siebie. Tańczyli w rytm powolnej

melodii. Tom przytulił ją tak mocno, że nikt nie mógł już mieć najmniejszych wątpliwości co do ich związku. Tylko kobieta zakochana pozwoliłaby mężczyźnie na tak intymne uściski na oczach publiczności.

Josey nic nie mogła na to poradzić. Za zasłoną eleganckiego garnituru i poprawnych manier Tom skrywał pierwotną, męską siłę, której Josey nie potrafiła się oprzeć. Nawet jaskiniowiec nie mógłby bardziej zdecydowanie wyrazić swych praw do partnerki, niż to uczynił Tom.

Głęboko w duszy Josey czuła, że jej wolę paraliżuje czysto kobiece pragnienie oddania się. Chęć stawiania oporu szybko stopniała pod działaniem innych pragnień. Przymknęła oczy i pogрузzyła się w marzeniach. Wiedziała, że naraża się na niebezpieczeństwo... A może już zakochała się w Tomie?

W letni wieczór ogród Cottisham Manor stanowił świetne miejsce na spacer zakochanych. Po obu stronach spokojnej rzeczki rozciągały się trawniki, urozmaicone tu i ówdzie kępami drzew i krzewów. Kępy nadbrzeżnych trzcin szumiały, kołysane lekkimi powiewami wiatru. Romantyczny, kamienny mostek łączył brzegi rzeki.

Cóż za romantyczna sceneria, pomyślała z ironią Josey. Musiała chyba zwariować, żeby myśleć o romansie z Tomem. Oczywiście, Tom z pewnością jej pragnął – to zademonstrował już wszystkim podczas tańca. Nie miała jednak wątpliwości, że dla niego miłość i pragnienie to dwie zupełnie różne sprawy.

Stali na moście, opierając się o barierkę i wpatrując w powolny nurt rzeki, niosącej liście i drobne patyki. Choć dzieliło ich kilkanaście centymetrów, Josey przez cały czas czuła promieniującą męskość Toma. Zerknęła kątem oka na jego profil. Z twarzy Toma nie można było odczytać jego uczuć i myśli.

– Myślałam, że powinnam się w końcu wyprowadzić – powiedziała z wahaniem Josey. Tom nic nie odpowiedział. – Sądzę, że w poniedziałek uda mi się znaleźć jakiś pokój w hotelu.

– Czemu tak nagle zaczęło ci zależeć na tym, żeby się szybko wyprowadzić? – spytał Tom. W jego oczach widać było złośliwe rozbawienie. – Czyżbyś się obawiała, że twój czar jest tak nieodparty, iż którejs nocy zakradnę się do twojego pokoju i zmuszę cię do zaspokojenia moich niecnych pragnień?

– Nie, tego się nie boję – odrzekła Josey. Na szczęście było już tak ciemno, że Tom nie mógł dostrzec jej rumieńców. – No... chyba wiesz, co wszyscy myślą.

– Nie jestem medium – powiedział Tom. Nie miał zamiaru jej niczego ułatwiać.

– Wszyscy tutaj uważają, że jesteśmy kochankami – powiedziała Josey, przelękając ślinę.

– I co z tego?

– Tobie to z pewnością odpowiada – stwierdziła Josey. – Mnie nie. Chcę tu zamieszkać. Chcę, żeby ci ludzie mnie lubili, chcę się z nimi zaprzyjaźnić.

– Och, znowu o tym? – parsknął. – Wcale nie będziesz tutaj mieszkać. Daję ci góra trzy miesiące. Gdy nadejdzie wrzesień, będziesz już znudzona. Ledwie zacnie padać, uciekniesz do Londynu.

– Jesteś niezwykle pewny, że masz rację.

– Wiem, że mam rację. Skoro jednak już wszyscy plotkują na nasz temat, nie mamy chyba nic do stracenia, nieprawdaż?

Tom przysunął się i spróbował ją objąć.

– Nie, Tom – odsunęła się i odwróciła twarz. – Proszę...

– Czy chcesz powiedzieć, że nie masz ochoty, żebym cię pocałował? – zaśmiał się cicho. – Nie kłam, Josey. Twoje oczy cię zawsze zdradzą.

Tom przyciągnął ją do siebie. Powoli, zdecydowanie przełamywał jej opór. Josey wciąż się opierała. Wiedziała, co będzie, jeśli teraz ulegnie. Odpychała go od siebie, jednocześnie odwracając głowę, żeby Tom nie mógł jej rozbroić swym hipnotycznym spojrzeniem.

– Nie... – protestowała słabym głosem. – To nie... Usiłowała dalej protestować, gdy nagle zauważyła w rzece coś dziwnego. Po powierzchni płynęło zamknięte tekturowe pudełko. Dziwnie podskakiwało na wodzie, tak jakby w środku coś się ruszało.

– Co to takiego?

Tom spojrzał w kierunku rzeki. Josey skorzystała z okazji, uwolniła się z jego objęć i zbiegła z mostku na brzeg. Teraz słyszała dobiegający z pudełka rozpaczliwy pisk. Pudełko zaczepiło o nadbrzeżne trzciny i zaczęło tonąć.

– Coś jest w środku! – krzyknęła Josey, nie zwracając uwagi na zdumione spojrzenia wszystkich gości. Eleganckie panie i panowie patrzyli na nią, popijając szampana. – Szybko, zaraz utonie.

Bez namysłu wskoczyła między trzciny. Z trudem brnęła przez muliste dno. Już po dwóch krokach straciła sandaalki, które uwięzły w mule. Jej elegancka suknia nasiąkła wodą, ale nie zwracała na to uwagi. Wyciągnęła ramię i dotknęła palcami pudełka, ale rozmiękły karton ugiął się pod naciskiem. Josey bała się, że jeśli chwyci mocniej, pudełko się rozleci.

Nagle zza jej pleców wysunęło się długie ramię i Tom chwycił pudełko. Zdążył w ostatnim momencie, pudełko już miało spłynąć z nurtem rzeki. Josey odetchnęła i zaczęła brnąć z powrotem do brzegu. Kilkoro gości podbiegło, aby pomóc jej wydostać się na trawę. Tom postawił pudełko na ziemi i zdjął pokrywkę. Ukazała się mała, kudłata główka.

– To szczeniak! – wykrzyknęła Josey i opadła na kolana. Wzięła niedoszłą ofiarę na ręce. Był to niemal całkowicie biały szczeniak, z paroma brązowymi łatkami i opadającymi uszami. Miał zamglone niebieskie oczy, wydawał się pulchny i delikatny. – Jaki młody! – westchnęła Josey i przycisnęła pieska do piersi, żeby go ogrzać. Nie przejęła się tym, że szczeniak ociekał wodą. – Jak ktoś mógł zrobić coś takiego?!

– Obawiam się, że to żadna sensacja – odrzekł Tom. – Mam wrażenie, że z całego miotu ocalał ten jeden.

– Och, biedactwa – jęknęła Josey. Miała łzy w oczach. Delikatnie głaskała drżącego szczeniaka. Wokół nich zebrali się liczni goście. Helen uklękła koło Josey.

– Kochanie, jesteś cała mokra – przypomniała jej łagodnie.

– I zupełnie zniszczyłaś sobie suknię – dodała Vanessa ze złośliwą satysfakcją. Josey nie zwróciła na nią najmniejszej uwagi.

– Och, cóż to ma za znaczenie! – Potrząsnęła lekceważąco głową. Spojrzała na Toma. – Proszę, zbadaj go zaraz. Czy nic mu nie będzie?

Tom pochylił się i wziął szczeniaka na ręce.

– Nic nie będzie tej suczce – stwierdził po krótkim badaniu. – Potrzebuje tylko ciepła, jedzenia i opieki.

Josey zdjęła jedwabne bolerko i otuliła nim pieska a następnie przytuliła do siebie szepcząc mu do ucha jakieś pieszczotliwe słowa.

– Jak myślisz, w jakim jest wieku? – spytała Toma. – Jakieś trzy tygodnie – ocenił. – Ludzie często wyrzucają szczeniaki, gdy suka przestaje je karmić. Inaczej musieliby sami się nimi zająć. – Urwał i spojrzał uważnie na szczeniaka. – Co zamierzasz zrobić z tą suczką?

– Oczywiście zatrzymam ją! – Szczeniak już przytulił się do niej i

wydawał się zadowolony. – Muszę ją jakoś nazwać. Masz jakiś pomysł?

– Gdyby to był pies, mogłabyś go nazwać Mojżesz – wtrąciła Helen.

– Tak, ale to nie pasuje do suki. – Nagle szczeniak kichnął. – Och, kochana, może się przeziębiałaś?

– Psy rzadko się przeziębają – pokręcił głową Tom. Szczeniak znowu kichnął i wydawał się tym bardzo zdziwiony. Josey zaśmiała się wesoło i przytuliła go znowu.

– Może wpadł ci pieprz do nosa. O, już wiem, nazwę ją Pepper.

– Pepper? – powtórzył z rozbawieniem Tom. – No, przynajmniej to imię nie jest zbyt pretensjonalne.

– Zdjął marynarkę i zarzucił ją Josey na ramiona.

– Chodźmy do domu, póki jeszcze jest ciepło. Trzeba jej dać coś do jedzenia. Ty też powinnaś się przebrać, bo inaczej sama się przeziębisz.

Vanessa zmierzyła Josey gniewnym spojrzeniem. Dobrze wiedziała, kogo winić za to, że Tom tak wcześnie opuszcza jej przyjęcie.

– A więc już wychodzicie? – spytała ostro.

– Niestety, tak – odrzekł Tom i zerknął na nią z chłodnym rozbawieniem.

– W każdym razie dziękujemy za bardzo przyjemny wieczór – dodał z ironiczną uprzejmością. – Dobranoc wszystkim.

– Tak, dobranoc – powtórzyła Josey, uśmiechając się nieśmiało do otaczających ich gości. Widziała wiele życzliwych twarzy, słyszała pozdrowienia i serdeczności. Niedawne potępienie i podejrzliwe spojrzenia zniknęły, jakby pod wpływem czarów. Wszyscy życzyli jej dobrej nocy.

– Dobranoc – powiedziała Helen i pocałowała ją w policzek. Ten siostrzany gest wypadł wyjątkowo naturalnie. – Wstąpię jutro, dobrze? Może przyprowdzę dzieci, żeby zobaczyły Pepper.

– Tak, oczywiście – ucieszyła się Josey. – Wstąp koniecznie.

Wyszli razem przed dom, gdzie Tom zaparkował swego land rovera. Szczeniak już zasnął i nawet się nie obudził, gdy Josey przełożyła go z ręki do ręki, żeby zapiąć pas. Pogłaskała pieska delikatnie. Czowała pod palcami bicie niewielkiego serduszka.

– Och, ona jest taka słodka – mruknęła. – Nigdy jeszcze nie miałam psa. Co powinnam jej dawać do jedzenia?

– Mam w klinice trochę mleka w proszku – odrzekł Tom, zapalając silnik. – To wystarczy na najbliższe parę dni, możesz co najwyżej dać jej jeszcze rosółu z wołowiny. Później będziesz jej dawać płatki owsiane i

trochę siekanego mięsa. Posiłki co trzy godziny – ostrzegł. – Pewnie też często będziesz do niej wstawać w nocy.

– Nic nie szkodzi.

– Musisz uważać, żeby nie przychodziła do kliniki – dodał Tom. – Ze szczepieniami trzeba jeszcze poczekać parę tygodni. Teraz łatwo może się czymś zarazić.

Josey z powagą pokiwała głową. Nie przypuszczała dotychczas, że pustkę w jej sercu, wywołaną tęsknotą za dzieckiem, może wypełnić mały, ciepły szczeniak. Gdy jednak maleństwo ziewnęło, otwierając szeroko różowy pyszczyk, Josey wiedziała już, że znalazła stworzenie, które potrafi pokochać niemal tak mocno, jak pokochałoby dziecko.

Zatrzymali się przed drzwiami do przychodni. Tom wyszedł i otworzył drzwi z jej strony.

– Poczekaj, daj mi tego szczeniaka. Zrobię mu trochę mleka – zaproponował, gdy Josey wysiadła już z samochodu. – Sama lepiej jak najszybciej przebierz się w suche ubranie.

– Ty też jesteś mokry – przypomniała mu Josey. Poczowała wyrzuty sumienia, że to wszystko przez nią. Spodnie Toma były aż do kolan mokre i zabłocone.

– Jakim cudem masz takie czyste buty?

– Starczyło mi rozsądku, żeby je zrzucić, nim zacząłem brodzić w mule – odrzekł z błyskiem humoru w oczach. – Obawiam się, że już nigdy nie ujrzysz swoich sandałów.

– Utknęły w błocie – potwierdziła Josey. – To nie ważne, i tak nie były zbyt wygodne.

Tom otworzył drzwiczki i wysiadł z samochodu.

– Spokój, Jethro – skarcił podskakującego collie.

– Tak, to szczeniak, ale jest jeszcze zbyt mały, żeby się z nim bawić.

Josey uśmiechnęła się do siebie. Tom miał wspaiały kontakt ze zwierzętami. Jaka szkoda, że nie mógł się zdobyć na podobną serdeczność w stosunku do ludzi! Nagle przypomniała sobie, jak to było, gdy w tańcu ją obejmował.

– Pójdę się przebrać – powiedziała pośpiesznie i pobiegła na górę.

Szybko ściągnęła przemoczoną suknię i rzuciła ją na podłogę. Najprawdopodobniej sukienka nada się już wyłącznie do wyrzucenia, ale Josey uznała, że ocalenie życia szczeniaka było wartością takiej ofiary.

Taki szczeniak, a już zdążył się przekonać, jak okrutny jest świat... No, teraz już Pepper jest bezpieczna, pomyślała. Postanowiła, że zrobi wszystko, aby zapewnić jej pomyślny los.

Wzięła szybki prysznic, po czym narzuciła stary szlafrok Toma. Tak ubrana zeszła na dół do kuchni. Tom również się przebrał, miał na sobie wełniany, granatowy szlafrok. Zza pazuchy wychylał się łebek niespokojnie rozglądającego się szczeniaka. Tom znalazł kartonowe pudło i właśnie przygotowywał odpowiednie posłanie. Tuż obok stał Jethro i pilnie śledził, co robi pan.

– Mogę ją wziąć? – spytała Josey, wyciągając rękę.

– Proszę – Tom wyjął maleństwo z za poły szlafroka i podał je Josey. Pepper przez chwilę protestowała, ale zaraz przytuliła się do Josey i umilkła.

– Pójdę poszukać mleka w proszku.

– Dobrze. – Josey uklękła i delikatnie umieściła Pepper w jej nowym legowisku. – Kładź się, Pepper – zachęciła ją delikatnie i pogłaskała psiaka po główce. – Będzie ci tu lepiej niż w domu.

Jethro wsunął pysk do pudła i intensywnie węszył. Josey poklepała i jego.

Dopiero w tej chwili usłyszała trzaśnięcie zamykanych drzwi. Zrozumiała, że Tom nie wyszedł z kuchni od razu. Zapewne stał i patrzył, co ona robi. Josey wiele by dała za to, żeby poznać jego myśli. Czy może uważał, że jej stosunek do zwierząt jest głupi i sentymentalny, jak innych dziewczyn z miasta?

– Nic mnie to nie obchodzi – mruknęła do obu psów. – Niech sobie myśli, co chce.

Kłęcząc przy pudle obserwowała, jak Pepper zwiedza swoją nową kwaterę. Suczka obwąchała wszystkie kąty i wydawała się zadowolona, choć miała pewne kłopoty z chodzeniem – ostre pazurki zaczepiały włókna posłania. Po chwili zadowolona suczka skuliła się w kącie legowiska i natychmiast zasnęła.

Gdy po paru minutach Tom wrócił do kuchni, zastał Josey wciąż na klęczkach przy pudle Pepper. Zaśmiał się cicho i podszedł do niej.

– Połknęłaś haczyk, prawda?

– Zobacz, jaka ona jest śliczna – odrzekła Josey.

– Taka malutka. Jakie ma małe pazurki. Zasnęła już na dobre.

Tom również uklękł i przyjrzał się Pepper.

– Szybko poczuła się w domu – zauważył pogodnie. – Masz, wsadź termofor pod jej posłanie i spróbuj, czy uda ci się ją nakarmić.

Pepper spała tak mocno, że Josey nie miała serca jej budzić. Za pomocą strzykawki zdołała jakoś wlać jej do pyszczka trochę mleka, ale po chwili suczka ziewnęła szeroko i znów zamknęła oczy.

– Daj jej spokój, widocznie nie jest głodna – poradził Tom. – Miała ciężki dzień.

– Czy wiesz, kto próbował ją utopić? – spytała unosząc głowę.

– Myślę, że moje podejrzenia są słuszne – odrzekł.

– Nie martw się, jeszcze to sprawdzę.

– Chciałabym wiedzieć, czyja to sprawka – oznajmiła Josey wojowniczym tonem.

Tom uśmiechnął się ze zrozumieniem i pogłaskał ją uspokajająco po głowie. Josey przymknęła oczy. Od razu poczuła w całym ciele gorącą falę. Gdy Tom ujął ją pod brodę i uniósł jej twarz, poczuła, że jej serce zamiera.

Tom długo wpatrywał się w jej twarz, tak jakby walczył z chęcią pocałowania jej w usta. Josey nagle poddała się działaniu najstarszego instynktu świata. Jej ręce, niezależnie od woli, chwyciły poły szlafroka Toma i przyciągnęły go do niej. Powoli, niemal niechętnie, Tom pochylił głowę i dotknął wargami jej ust.

Ten pocałunek był tak słodki i czuły, że Josey od razu zapomniała o swoich wątpliwościach i zastrzeżeniach. Czowała ciepło jego warg i rozkoszne muśnięcia języka, penetrującego wszystkie zakątki jej ust. Pocałunek obudził w niej ogień, którego w żaden sposób nie potrafiła opanować.

Tom objął ją ramionami i przytulił do siebie. Josey przywarła do niego. Czowała wyraźnie ciepło jego ciała i twarde, nabrzmiące mięśnie. Tom wsunął rękę pod jej szlafrok i odnalazł dłonią nagie piersi. Nawet nie zaprotestowała. Przemknęło jej przez myśl, że nie powinna na to pozwolić, ale całował ją z takim zapamiętaniem, że Josey nie mogła niczego mu odmówić.

Na całej twarzy czuła dotknięcia jego palących warg. Tom odnalazł pulsującą tętnicę pod delikatną skórą skroni, a w chwilę później badał językiem wrażliwą muszlę jej ucha. Pasek szlafroka sam się rozluźnił; Tom rozsunał na bok jego poły i objął ramionami jej nagie, smukłe ciało, jeszcze gorące i wilgotne po prysznicu.

– Pragnę cię, Josey – szepnął namiętnie. Josey czuła na policzku jego

gorący oddech.

– Tak... – odrzekła bez namysłu. Teraz już całkowicie poddała się jego woli. Tom porwał ją na ręce i bez wysiłku, tak jakby Josey była lekka jak piórko, zaniósł ją na górę, do swej sypialni.

Po paru sekundach Josey leżała już na jego dużym i wygodnym łóżku. Uniosła ręce i przyciągnęła Toma do siebie. Mężczyzna zaśmiał się cicho, po czym pocałował ją w usta i równocześnie zaczął namiętnie pieścić jej gładką skórę.

Szlafrok Toma również znalazł się na podłodze. Josey objęła ramionami jego potężny tors. Czuła pod palcami gorącą skórę i dobrze wyćwiczone mięśnie. Przeczesła gęste włosy porastające szeroką klatkę piersiową. Poczwała cudowny, męski zapach jego skóry.

Usta Toma wędrowały w ślad za jego dłońmi. Gdy zaczął całować wrażliwą skórę w zagłębieniu między piersiami, Josey poczuła delikatne drapanie jego zarostu. Instynktownie wyprężyła ciało, całkowicie mu się oddając.

W końcu poczuła, jak gorące usta Toma obejmują nabrzmiąły sutek. Tom drażnił go delikatnymi muśnięciami języka, po czym zaczął rytmicznie ssać, aż Josey niemal straciła dech. Odrzuciła do tyłu głowę i uniosła nieco biodra.

Nic nie mogła na to poradzić: nigdy jeszcze nie przeżyła czegoś takiego. Colin nigdy nie wysiłał się na takie pieszczoty, dla niego jedynym miernikiem sprawności erotycznej była długość trwania aktu, a od Josey oczekiwał tylko biernego poddania się jego zabiegom. Gdy już po kilku miesiącach małżeństwa powoli zaczął tracić zainteresowanie współżyciem z nią, Josey przyjęła to raczej z uczuciem ulgi niż rozczarowania.

Wspomnienie to podziałało na nią niczym wiadro zimnej wody, i to w chwili, gdy Tom przejechał dłonią w dół jej płaskiego brzucha i delikatnie rozsunął uda. Josey nagle ochłonęła i odepchnęła go tak gwałtownie, że niemal spadł z łóżka.

– Josey?

Tom wyciągnął do niej rękę. Był zupełnie zaskoczony jej reakcją. Josey znów się odsunęła, wstała z łóżka i szybko włożyła szlafrok. Czuła mdłości.

– Co do diabła?... – Tom usiadł na łóżku i spojrzał na nią gniewnym wzrokiem. – Czy to ma być jakaś zabawa, czy co? – spytał ostrym tonem.

– Bardzo przepraszam – wymamrotała Josey i odsunęła się jeszcze dalej.

– Po prostu... nie mogę... Ja... – wyjąkała i przerwała. Jak mogła mu wyjaśnić swoje reakcje? – Jestem jeszcze zamężna – próbowała się usprawiedliwić tą kiepską wymówką.

– Wiem o tym – burknął niecierpliwie Tom. – Ale właśnie się rozwodzisz, a jeśli powiedziałaś mi prawdę, to ten łajdak z pewnością nie zasługuje na wierność.

– Wiem, że zachowuję się jak idiotka, ale...

– Dobrze, nie musisz się dłużej tłumaczyć – parsknął gniewnie Tom. Wstał z łóżka i włożył szlafrok.

– Nie ma sensu, żebyśmy to robili, skoro myślisz, że zamierzam cię zgwałcić.

– Wcale tak nie myślałam – odrzekła i zwiesiła głowę ze smutkiem. Jak mogła mu wytłumaczyć swoje zachowanie? Sama nie wiedziała, dlaczego tak się stało. Jeszcze przed chwilą reagowała jak normalna kobieta, i nagle zmieniła się w bryłę lodu. Przypomniała sobie, jak Colin oskarżał ją o oziębłość.

– Nastawię wodę na herbatę – zaproponował Tom.

– Myślę, że dobrze nam zrobi coś gorącego.

– Tak... bardzo cię przepraszam – Josey poszła za nim do kuchni. – Myślę, że będzie lepiej, jeśli jak najszybciej przeniosę się do hotelu – zaproponowała.

– Postaram się znaleźć jakiś pokój w poniedziałek.

– Czy myślisz, że gdzieś cię przyjmą z trzytygodniowym szczeniakiem, który jeszcze nie nauczył się porządku? – zaśmiał się Tom.

– Och... – Josey zupełnie zapomniała o Pepper, śpiącej mocnym snem w swym pudełku. Wykluczone, aby jakikolwiek hotel zgodził się przyjąć je razem. Nie potrafiła nawet wyobrazić sobie, że mogłaby się z nią rozstać. Jeśli jednak miałyby pozostać u Toma... Uniosła głowę i spojrzała mu w oczy, starając się odgadnąć jego myśli.

– Owszem, możesz tu zostać – odpowiedział Tom na nieme pytanie. – Możesz się nie martwić, nie będę cię zmuszał, żebyś płaciła mi w naturze.

Rozdział 7

Tom dotrzymał obietnicy. Minęły już trzy tygodnie i przez cały ten czas starannie unikał wszelkich kontaktów ze swą lokatorką. Trudno byłoby sobie nawet wyobrazić, że dwoje ludzi mieszkających w tym samym domu może zachowywać taki dystans. Oczywiście, Tom był bardzo zajęty – tak przynajmniej twierdził. Niemal nigdy nie było go w domu.

Josey miała do towarzystwa tylko Pepper. Szczeniak powoli wyrastał na wesołego i ciekawskiego urwisa. Pepper wtykała swój nos wszędzie, co nie zawsze dobrze się dla niej kończyło. Raz już utknęła za lodówką i Josey musiała się dobrze napracować, żeby ją stamtąd uwolnić.

No, oczywiście, widywała się również z Helen. Bardzo się z nią zaprzyjaźniła. Helen zaglądała niemal codziennie, czasami przywoząc ze sobą dzieci. W czasie jednej z wizyt, Helen zaprosiła ją na lunch w niedzielę chcąc, żeby poznała rodziców Toma.

Początkowo Josey nie miała na to ochoty. Bała się tego spotkania.

– Tom może być niezadowolony – wahała się.

– Niby dlaczego? – zdziwiła się Helen.

– No, wiesz... jak to wygląda... Nie jesteśmy przecież...

– Nie przejmuj się tym, co on na to powie – nalegała Helen. – Przychodzisz do mnie w niedzielę i koniec. A jeśli ten półgłówek, mój szwagier, cię nie podwiezie, to sama przyjadę po ciebie.

Tom jednak zgodził się, acz niechętnie, zabrać ją ze sobą. Gdy jechali, w samochodzie panowała atmosfera pełna napięcia, ale Josey nauczyła się już nie zwracać uwagi na humory Toma. Przekonała się, że najlepiej wtedy zupełnie go ignorować.

Farma Quinnów wydała się jej zachwycająca. Długi, niski budynek powstał najwyraźniej wskutek wysiłków wielu pokoleń. Różne fragmenty zabudowań pochodziły z zupełnie różnych epok, ale dzięki wykorzystaniu tego samego, miejscowego, szarego granitu, całość sprawiała harmonijne wrażenie. Przy bramie powitała ich cała trójka dzieci Helen.

– Czy przywiozłaś Pepper? – spytała najmłodsza, Sara. – Babcia koniecznie chce ją zobaczyć!

– Oczywiście, jest ze mną – uspokoiła ją Josey z uśmiechem. Po chwili miała już całą trójkę na kolanach. – Spokojnie, nie musicie tak szaleć.

Podawała Sarze szczeniaka. Dziewczynka ostrożnie przytuliła Pepper i pobiegła do domu, aby natychmiast pokazać ją babci. Tom wskazał Josey drogę do domu, obrzucając ją jednocześnie kpiącym spojrzeniem. Josey nie mogła odgadnąć, o co mu chodzi.

Drzwi wejściowe prowadziły prosto do ogromnej kuchni, gdzie najwyraźniej skupiało się życie całej rodziny. Kuchnia sprawiała niezwykle przytulne wrażenie. Na kamiennej posadzce leżał mocno sfatygowany dywan. W powietrzu czuć było zapach niedzielnej pieczeni. Josey na chwilę zatrzymała się w drzwiach, ale Helen natychmiast zaprosiła ją do środka.

– Och, już jesteście, znakomicie! – wykrzyknęła, jednocześnie rzucając Tomowi pytające spojrzenie. Tom nic nie odpowiedział, a jego twarz przypominała kamienną maskę. – Wejdz, poznasz zaraz całą rodzinę. Zresztą, znasz już Dona i Hughę.

– Tak, oczywiście – Josey uśmiechnęła się.

– A to moja teściowa – dodała Helen. W jej głosie słychać było sympatię i serdeczne przywiązanie.

Josey sama nie wiedziała, czego powinna się spodziewać po matce Toma. Zmierzyła wzrokiem wysoką, przystojną kobietę, uczesaną w kok. Uścisnęła jej rękę.

– Dzień dobry, Josey. Już dawno chciałam cię poznać. Słyszałam o tobie tak wiele, że czasami miałam wrażenie, iż już się poznałyśmy.

– Dzień dobry, pani Quinn – powiedziała Josey i zdobyła się na nieśmiały uśmiech. Myślała gorączkowo, co też pani Quinn mogła słyszeć na jej temat.

– Och, mów mi Phyllis, bardzo cię proszę. Ojciec jest w stajni – dodała, zwracając się do Toma. Syn pocałował ją w policzek. – Ostatniej nocy Szafran się ożrebiła. Może pójdziesz do stajni i sprawdzisz, czy wszystko jest w porządku.

– Josey, chodź, zobaczysz żrebaka – zakrzyknęły dzieci. – Jest cudowny!

– Bardzo chętnie – z uśmiechem zgodziła się Josey. – Ale lepiej będzie, jeśli Pepper zostanie w kuchni.

– Nie martw się, będę miała na nią oko – uspokoiła ją Phyllis. – Wychowałam już wiele szczeniaków.

– Dziękuję – uśmiechnęła się Josey. – Myślę, że Pepper zaraz zaśnie. Po drodze dokazywała i na pewno jest zmęczona.

– Zupełnie jak z małym dzieckiem, prawda? – zaśmiała się starsza

kobieta. Pochyliły się razem i ułożyły Pepper na ręczniku przy piecu.

Josey poczuła, że się rumieni. Czy rzeczywiście przeniosła swoje nie zaspokojone uczucia macierzyńskie na szczeniaka, choć naprawdę pragnęła mieć dziecko? Nagle uświadomiła sobie, że znowu zaczęła jej doskwierać tęsknota za macierzyństwem. W dodatku ten przyływ macierzyńskich pragnień jakoś wiązał się z Tomem.

Na szczęście była odwrócona do niego plecami, ale Phyllis zauważyła, co się z nią dzieje. Uśmiechnęła się do niej serdecznie.

– Idź do stajni zobaczyć żrebaka – powiedziała uspokajającym tonem. – Tom cię zaprowadzi.

Josey miała ochotę zapaść się pod ziemię. Nie powinnam była tu przyjeżdżać, pomyślała z rozpaczą. Matka Toma z pewnością miała mylne wyobrażenie na temat związku, łączącego ją z Tomem. Dlaczego nie wyjaśnił matce całej sytuacji?

Na szczęście Phyllis zwróciła się do syna.

– Co za okropny pomysł, topić szczeniaki! – wykrzyknęła. – Czy wiesz, kto to zrobił?

– Tak – pokiwał głową Tom. – Powiedziałem im już, że jeśli ich nie stać na sterylizację suki, to zrobię to za darmo – powiedział ponurym głosem.

– To dużo lepsze rozwiązanie – przytaknęła pani Quinn. – Niektórym ludziom należałoby zakazać posiadania psów.

– Zgadzam się z tobą – powiedział Tom. – No, chcesz zobaczyć tego żrebaka, czy nie? – spytał Josey, obrzucając jednocześnie kpiącym spojrzeniem jej eleganckie pantofelki. – Lepiej uważaj, idąc przez dziedziniec. Pewnie nie brakuje tam błota.

– Masz, włóż moje kalosze – zaproponowała Helen. – Tom, powinieneś być uprzedzić Josey.

Tom nic nie odpowiedział i wyszedł na dwór. Josey odetchnęła głęboko, próbując się nieco uspokoić.

– Dzięki, Helen – uśmiechnęła się do niej.

Stajnia znajdowała się po przeciwległej stronie dziedzińca. Poranny deszcz rzeczywiście rozmiękczył ziemię i Josey z pewnością miałyby kłopoty z dotarciem do stajni w pantofelkach. Szła otoczona podskakującymi dziećmi. Mała Sara ścisnęła ją za rękę.

Podobnie jak jego dwaj synowie, Donald Quinn senior był wysokim, przystojnym mężczyzną. Miał na sobie robocze ubranie i odwinęte pod

kolanami gumiaki.

– Cześć, Josey – powitał ją bez żadnych ceremonii.

– Przyszłaś zobaczyć konie, tak? Jeździsz konno?

– Nie – przyznała z żalem Josey. – Bardzo bym chciała.

– No, to niech Tom cię nauczy – rzucił lekkim tonem. Najwyraźniej myślał o ich związku dokładnie to samo co Phyllis. – Słyszysz, Tom?

– Och... w tej chwili i tak nie mogę – wyjąkała Josey. Tom nic nie odpowiedział. – Muszę poczekać, aż mój nadgarstek całkowicie się zrośnie.

W stajni było ciepło i pachniało świeżym sianem. W boksach stało kilka koni. Gdy nagle nad jej ramieniem pojawił się wielki łeb, odskoczyła w bok.

– Spokojnie, nie masz się czego obawiać – uspokoił ją Tom, klepiąc konia po nosie. – To Cyganka. Jest bardzo łagodna, nic ci nie zrobi.

Josey zbliżyła się do boksu. Jej poprzednia reakcja wynikała raczej z zaskoczenia niż ze strachu. Podniosła rękę i poklepała lśniąca szyję Cyganki.

– Dzień dobry – mruknęła cicho.

Koń cicho parsknął i podstawił jej łeb do pogłaskania.

– Lubi cię – powiedział pan Quinn z zadowoleniem. – Ale skoro jesteś nowicjuską, lepiej jej nie próbuj. Czasami miewa humory. Dla ciebie najlepsza byłaby Szafran.

Przeszli do ostatniego boksu, gdzie stała piękna kasztanka. Widocznie wyczuła zapach Toma, bo wysunęła łeb z boksu i spojrzała na niego z wyraźną dumą. U jej boku stał niepewnie źrebak na długich, cienkich nóżkach.

– No, widzę, jaka jesteś zdolna – pochwalił ją Tom. – Wygląda na zdrowego młodzieńca – zwrócił się do ojca.

– Aha. To już drugi wspaniały źrebak, jakiego nam urodziła. To dobra matka, nie będzie żadnych kłopotów z wykarmieniem małego.

Josey jak urzeczona wpatrywała się w źrebaka. Długie nogi zdawały się zupełnie nie pasować do reszty ciała. Mały ciekawie wyglądał spod brzucha matki. Josey widziała jego ogromne, błyszczące oczy.

– Jaki cudowny! – szepnęła. – Jak się nazywa?

– Jeszcze go nie nazwaliśmy – uśmiechnął się pan Quinn. – Masz może jakiś pomysł?

Josey uśmiechnęła się z zadowoleniem i skłoniła na bok głowę. Nie mogła oderwać wzroku od źrebaka.

– Skoro jego mama nazywa się Szafran, to on również powinien nazywać się jak jakaś przyprawa. Może Goździk?

– Goździk? – pan Quinn podrapał się po brodzie i spojrzał na żrebaka. – Dlaczego nie, może być Goździk – powiedział, po czym chwycił wiadro i wyszedł z boksu. Przechodząc koło Josey poklepał ją po ramieniu. – Bystra z ciebie dziewczyna.

Pan Quinn poszedł do studni po wodę. Josey i Tom zostali sami w stajni. Josey głaskała żrebaka, ale przez cały czas myślała o Tomie. Gdy zbliżył się nieco, natychmiast odsunęła się od niego.

– Lepiej się odpręż – Tom parsknął złośliwym śmiechem. – Co ty sobie wyobrażasz, że przewrócę cię na siano i zgwałcę?

– Nie – odrzekła chłodno Josey. – Ale mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, iż zdaniem twoich rodziców jesteśmy parą.

– Doprawdy? – odrzekł Tom, unosząc z powątpiewaniem brew. – Jak doszłaś do tego wniosku?

Josey poczuła, że się czerwieni. Tom nic sobie nie robił z jej zmartwienia.

– Była dla mnie niezwykle uprzejma – wyjąkała. – Kazała mi mówić do siebie po imieniu.

– Mama wszystkich traktuje w ten sposób – wzruszył ramionami Tom.

– Tak, ale...

Powrót ojca przerwał im dalszą rozmowę. Pan Quinn dostrzegł rumieńce Josey i uśmiechnął się. Zmierzył syna domyślnym spojrzeniem.

– Lepiej wracajmy do domu – powiedział. – Matka nie lubi czekać z jedzeniem.

Za pośrednictwem Helen Josey poznała sporo młodych kobiet z okolicy. Okazało się, że Vanessa, zawzięcie o niej plotkując, niechcący wyświadczyła jej sporą przysługę. Zapomniała, że sama nie jest szczególnie lubiana. Większość mieszkanek okolicy chętnie wzięła stronę Josey.

Tak naprawdę to Josey nie miała czasu martwić się zachowaniem Toma. Helen poleciła jej firmę remontowo-budowlaną, która zajęła się remontem domu. Robota szła pełną parą.

Gdy lekarz pozwolił jej zdjąć gips, Josey kupiła sobie niewielkiego, czerwonego morrisa i zaczęła jeździć po okolicy, kupując firanki, narzuty, pokrowce na meble i mnóstwo innych drobiazgów. Zapuszczała się aż do

Cambridge. Gdy wracała do domu, w przytulnej kuchni gromadziły się liczne nowe przyjaciółki. Najczęściej rozmawiały o kolejnych pomysłach Josey, podczas gdy dzieciaki baraszkowały z Pepper.

– Myślę, że ten żółty materiał będzie znakomicie wyglądał w salonie – zauważyła Maggie Hunter, wygladzając kwiecisty kawałek muślinu. – Wydaje się taki pogodny i słoneczny.

– Który, ten? – spytała Helen podchodząc do Maggie. – Tak, spójrz Josey. Co o tym myślisz?

– Tak, sama już o tym myślałam – zgodziła się Josey. – Wydaje mi się, że świetnie pasowałaby do niego ta tapeta.

Nagle przed domem rozległ się warkot land rovera. Jethro poderwał się ze swego posłania. Josey nie miała zamiaru wyjść na powitanie Toma.

– Cześć, Helen, znowu tu jesteś? – Tom powitał bratową. – Może byłoby lepiej, żebym rozstawił dla ciebie łóżko polowe?

– Nie wygłupiaj się, Tom – odrzekła Helen ze śmiechem. – Siadaj, zrobię kawę. Właśnie chciałyśmy się napić, prawda, dziewczyny?

– Ja dziękuję – zaprotestowała Maggie, zerkając na zegarek. – Muszę już iść. Harry, uważaj, co robisz – upomniała synka, który chwycił Toma za nogę.

– Przepraszam, Tom.

– Och, nic nie szkodzi – uspokoił ją gospodarz. Pepper, która go uwielbiała, poszcze kiwała z zapałem, kręcąc mu się pod nogami i szarpiąc za sznurowadła. Tom pochylił się i wziął ją na ręce. – Uspokój się – nakazał, ale powiedział to tak łagodnym głosem, że Pepper specjalnie się nie przejęła. – Zachowujesz się okropnie.

– Ja chyba też muszę już iść – westchnęła Helen.

– Zaraz skończą się lekcje i moja banda znajdzie się na swobodzie. Jeśli nie zgrnę ich do domu, rozniosą całą wieś. – Helen mówiła w ten sposób o trójce swych ukochanych dzieci.

– No cóż, do widzenia – powiedziała Josey odprowadzając je do drzwi. – Uważajcie na siebie.

– Wstąp jutro do mnie, dam ci flance lawendy – przypomniała jej Maggie.

– Wstąpię. Bardzo ci dziękuję.

Josey pomachała im na pożegnanie ręką i niechętnie wróciła do kuchni.

Tom stał oparty plecami o kominek i bacznie ją obserwował. Josey w

milczeniu zabrała się do sprzątanía. Szybko zebrała ze stołu wszystkie sprawunki, jakie zrobiła tego dnia w Norwich. Czuła na sobie jego spojrzenie, ale wolała na nie nie reagować.

– Wydaje mi się, że nieźle się tutaj zadomowiłaś – zauważył Tom.

– Tak, bardzo cię przepraszam. Myślałam, że wrócisz nieco później. Naprawdę zamierzałam posprzątać przed twoim przyjściem.

– Nie o tym myślałem – odrzekł Tom takim tonem, że Josey musiała jednak na niego spojrzeć. – Wydaje mi się, że masz tu już sporo przyjaciółek. Ilekroć wracam do domu, zawsze ktoś jest.

– Przepraszam.

– Och, nie musisz mnie przepraszać – rzucił niecierpliwie Tom. – Przypuszczam, że to świetnie się składa, skoro tak się uparłaś, żeby tu zostać.

– Owszem, zostanę tutaj – potwierdziła chłodno Josey. – Remont jest już niemal zakończony. Mam nadzieję, że w przyszłym tygodniu będę mogła się przeprowadzić.

– Już? – Tom wydawał się nieco zaskoczony. – To bardzo szybko. Czy zechcesz... czy będziesz mogła w dalszym ciągu prowadzić moje biuro?

– Jeśli tylko sobie tego życzysz – odrzekła Josey. Ta propozycja bardzo ją zaskoczyła, choć wiedziała, jak bardzo Tom potrzebuje jej pomocy. – Wystarczy, że zajrzę tu parę razy w tygodniu na godzinę lub dwie i wszystko będzie w porządku.

– Doskonale – powiedział Tom oschłym tonem. – Oczywiście ustalimy odpowiednie wynagrodzenie.

– Oczywiście – odrzekła Josey, z trudem skrywając gniew. Chętnie robiłaby to dla niego za darmo, gdyby tylko Tom zdobył się na krótkie „dziękuję”.

Weszła na górę, aby schować zakupy. Rozejrzała się wokół i pomyślała, że będzie jej brakować tego pokoju. Oczywiście, jej domek również będzie przyjemnym miejscem. Brygada remontowa już niemal zakończyła pracę, a mąż Vi uporządkował ogród.

Tam będzie już panią swego domu. Dziwne, pomyślała, po dziewięciu latach małżeństwa z trudem przypominam sobie, jak wygląda Colin. Od ich rozstania upłynął zaledwie miesiąc. Za to w ciągu tego czasu Josey poznała Toma, i to tak blisko, że Tom z pewnością byłby tym zaniepokojony, gdyby tylko zdawał sobie z tego sprawę.

Wiedziała, na przykład, jak wiją się wokół uszu jego ciemne włosy, świetnie pamiętała długą, nierówną bliznę na lewym przedramieniu, zapewne ślad po zębach jednego z pacjentów. Wiedziała, że zawsze potrafi rozwiązać niedzielną krzyżówkę w niecałe pół godziny, chyba że wśród haseł znajdowała się jakaś niejasna, literacka aluzja. Tom czytał niewiele, głównie fachowe magazyny, które prenumerował i pedantycznie studiował. Zamiast czytać, wolał słuchać muzyki, i to najczęściej klasycznej. Kosztowny zestaw hi-fi był jego jedyną zabawką.

Josey zmusiła się do przyjęcia chłodnej maski, którą nosiła na twarzy od trzech tygodni, po czym zeszła na dół. Tom siedział w swym ulubionym fotelu, z Pepper na kolanach, i czytał jakieś fachowe pismo. Pepper z zadowoleniem gryzła okładkę.

– Napijesz się kawy? – spytała.

– Tak, proszę – odrzekł nie podnosząc wzroku.

Zatem wracamy do obowiązującego układu, pomyślała Josey. Podeszła do kuchenki i nastawiła wodę na kawę, po czym oparła się o parapet i wyjrzała na zewnątrz.

Drogą przejechało szare BMW. Josey obejrzała się zdziwiona. Colin miał taki samochód... Nie, to nie może być on, pomyślała. Czemu miałby tutaj przyjeżdżać, taki szmat drogi? Z pewnością pozostawił całą sprawę w rękach adwokata. Jednak po paru minutach BMW pojawiło się znowu i tym razem kierowca stanął przed domem Toma. Josey poczuła, że ogarnia ją panika. To był Colin. Na litość boską, po co tutaj przyjechał?

– Josey, co się stało? – spytał Tom, gdy weszła do salonu. Od razu zwrócił uwagę, że jest blada jak ściana. Szybko wstał z fotela i podszedł do niej.

– Josey, co się stało? – powtórzył. W tej samej chwili rozległ się dzwonek przy drzwiach. – Kto to?

– Mój mąż – wyjaśniła Josey zduszonym szeptem. Nagle zapomniała o pewności siebie, którą powoli odzyskiwała. Wiedziała, że Colin potrafi ją wyprowadzić z równowagi jedną sarkastyczną uwagą. – Lepiej będzie, jeśli go wpuszczę, oczywiście, jeśli nie masz nic przeciw temu.

– Czy chcesz, żebym był przy waszej rozmowie?

– spytał zatroskany Tom.

Josey kiwnęła głową. Miała ochotę wyciągnąć rękę i dotknąć Toma, tak jakby w ten sposób mogła przejąć część jego siły. Nagle oboje zapomnieli

o barierze, jaka dzieliła ich przez ostatnie parę tygodni. Tom położył ręce na jej ramionach i lekko ją uściśnął. Josey miała wrażenie, że z jego dłoni spływa na nią fala ciepła. Uniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

Rozległ się ponowny dzwonek do drzwi. Zabrział ostro i niecierpliwie.

– Siadaj w fotelu – polecił jej Tom. – Ja mu otworzę.

Podszedł do drzwi i nacisnął klamkę. Jego potężna postać niemal całkowicie zasłoniła widok, ale Josey przez chwilę widziała zdumioną twarz Colina. Nie spodziewał się widoku Toma.

– Kim pan, do diabła, jest? – spytał agresywnie, zdradzając w ten sposób brak pewności siebie.

– Mieszkam tutaj – odrzekł lakonicznie Tom.

– Pan?... Ale... – Colin przez chwilę się wahał, ale zobaczył siedzącą w fotelu Josey. Jego twarz wykrzywił nieprzyjemny, drwiący grymas. – Aha, już rozumiem. Jaki przyjemny widok.

– Niech pan lepiej wejdzie – burknął Tom i usunął się z przejścia.

Colin spojrzał na niego tak, jakby chciał oszacować ryzyko, ale jednak wszedł do środka. Tom zamknął drzwi.

– Josey miała właśnie zaparzyć kawę. Czy pan też się napije? – spytał. – Nie, Josey, nie wstawaj, ja naleję.

Tom wycofał się do kuchni, zostawiając ich samych. Colin nie mógł jednak mieć wątpliwości, że jest w pobliżu i Josey może w każdej chwili go zawołać.

– Niezwykle tu przytulnie – powiedział, niemal nie kryjąc pogardy. – A zatem tutaj mieszkasz?

– Tak.

– Z nim? – Kiwnięciem głowy wskazał na kuchnię.

– Coś w tym rodzaju – przyznała Josey.

– Jak mam rozumieć tę odpowiedź? – spytał.

Josey odwróciła spojrzenie gdzieś w bok.

– To nie jest tak, jak myślisz – odezwała się wreszcie.

– Nie? – powiedział z rozbawieniem Colin. – No, to już coś. Wiadomość, że zastąpiłaś mnie jakimś wieśniakiem, bardzo by mnie zasmuciła.

– Tom jest lekarzem weterynarii – odcięła się Josey. – Jest tysiąc razy więcej wart od ciebie.

– Och, czyżby? – Colin usiłował zachować pozę pełną złośliwej

wyższości, ale Josey wiedziała, że zbiła go nieco z tropu.

W tej chwili w salonie ponownie pojawił się Tom. Postawił na stole tacę z filiżankami i usiadł naprzeciw Colina. Dzielili ich długość stołu. Josey siedziała pośrodku.

– Prócz tego – przypomniała mu Josey – jeśli dobrze pamiętam, to ty rzuciłeś mnie, nie ja ciebie. Jak się miewa Paula?

– Bardzo dobrze, dziękuję – odrzekł Colin, ale usta wykrzywił mu nerwowy tik. – Prosiła, żeby przekazać ci pozdrowienia.

– Bardzo miło z jej strony – odrzekła cierpko Josey.

– W zamian przekaz jej wyrazy szczerego współczucia. Czy już wyznaczyliście datę ślubu?

– Nie możemy tego zrobić, dopóki nie dostanę rozwodu – powiedział niecierpliwie Colin. Nie był przygotowany na to, że zostanie Josey w tak wojowniczym nastroju. – Właśnie dlatego tutaj przyjechałem.

– Doprawdy?

– Musimy przedyskutować sprawę – powiedział, sięgając do teczki i wyciągając plik dokumentów. Josey skorzystała z okazji i zerknęła na Toma. Spotkała jego wzrok i poczuła, że od razu przybyło jej sił.

– Nie sądzę, byśmy musieli o czymkolwiek dyskutować – powiedziała do Colina. – Wolałabym pozostawić całą sprawę w rękach adwokatów.

– Ach, adwokaci! – wykrzyknął Colin. Nagle zmienił taktykę i uśmiechnął się czarująco. – Gdyby zostawić im swobodę działania, ciągnęliby sprawę w nieskończoność, nabijając sobie przy okazji kieszenie. Spójrz na to. – Rzucił na stół jakieś pismo. – Czy wiesz, czego zażądał twój adwokat? To śmieszne – dodał pogardliwie.

– Adwokat tylko wypełnia moje instrukcje – odrzekła zimno Josey.

– Chyba żartujesz – Colin usiłował się zaśmiać.

– Przecież żądasz połowy mojego majątku!

– Dokładnie połowy – przyznała Josey pogodnym tonem. – Uważam, że mam do tego prawo.

– Masz prawo?! – wykrzyknął z niedowierzaniem Colin. Przestał udawać uprzejmość. – Cóż takiego zrobiłaś przez te lata, żeby zasłużyć na tyle pieniędzy?

– Pomogłam założyć ci firmę – przypomniała mu Josey. – Byłam jednym z dyrektorów...

– Wyłącznie formalnie – machnął pogardliwie ręką Colin. – Jedyne, co

musiałaś robić, to podpisywać od czasu do czasu jakieś dokumenty.

Mimo to mam prawo do swojego udziału. Prócz tego, przez dziewięć lat prowadziłam ci dom, przygotowywałam przyjęcia dla twoich przyjaciół...

Patrzcie no, jaka mała gejsza – zadrwił Colin.

– Czy zamierzasz zażądać zapłaty za wszystkie swoje usługi? Niektóre z nich, szczerze mówiąc, nie były wiele warte. Zamiast z tobą, wolałbym iść do łóżka z workiem ziemniaków.

Colin, jak zwykle, bez trudu odnalazł jej najsłabszy punkt. Josey czuła, że opuszcza ją spokój i pewność siebie. Nawet nie mogła się zdobyć na to, by spojrzeć na Toma. Myślała tylko o tym, żeby uciec i gdzieś się schować. Ani teraz, ani nigdy przedtem nie potrafiła przeciwstawić się Colinowi.

W oczach Colina pojawił się błysk tryumfu.

– Myślę, że możemy osiągnąć jakiś kompromis – powiedział protekcjonalnym tonem. – Sporządziłem listę... Do diabła! Ty szcurze! – wybuchnął nagle.

– Zostaw to!

Mała Pepper podkradła się cicho, korzystając z ich nieuwagi, i z zadowoleniem zabrała się do skórzanej teczki Colina. Ostroymi ząbkami zdążyła już solidnie nadgryźć jeden róg. Colin brutalnie ją kopnął. Pepper pisnęła ze strachu i błyskawicznie uciekła pod krzesło Josey, która od razu chwyciła ją na ręce.

– Jak śmiesz kopać mojego psa! – krzyknęła przez łzy. Przytuliła do siebie szczeniaka.

– Twojego psa?! – zaśmiał się pogardliwie Colin.

– Przecież ty nawet o siebie nie potrafisz zadbać. Gdy usiłuję z tobą rozsądnie porozmawiać, od razu dostajesz ataku hysterii...

– Myślę, że już wystarczy – wtrącił Tom spokojnym głosem. Oboje spojrzeli na niego zaskoczeni. Dotychczas siedział i nie odzywał się ani słowem. Teraz wstał i delikatnie objął Josey. – Może zabierzesz Pepper na górę, żeby nam nie przeszkadzała, dobrze?

Spojrzała na niego niepewnie. Nie chciała zostawić ich samych, bała się, że Colin znajdzie jakiś chytry sposób, żeby przeciągnąć Toma na swoją stronę. Wiedziała jednak, że potrzebuje paru minut, aby odzyskać panowanie nad sobą. Bez słowa ruszyła na górę.

Gdy Josey włożyła Pepper do jej kosza, suczka wydawała się zdenerwowana. Josey podrapała ją za uchem.

– Dobrze się spisałaś, kochanie – mruknęła do szczeniaka z wyraźnym zadowoleniem. – Zniszczyłaś mu tę wspaniałą teczkę.

Pepper wysunęła język i polizała rękę pani.

Nagle Josey usłyszała jakąś szamotaninę i głuchy odgłos uderzenia. Zerwała się na równe nogi i pobiegła w stronę schodów. Zdażyła jeszcze zobaczyć, jak Colin ostrożnie gramoli się z podłogi.

– To napaść! – krzyknął z wściekłością. – Zaraz zawiadomię policję!

– Nie sądzę – uśmiechnął się ironicznie Tom. – Tutaj wszyscy trzymamy się razem. Na twoim miejscu pryskałbym do Londynu, i to szybko. I w przyszłości lepiej nie próbuj straszyć Josey. Pamiętaj, że będziesz miał ze mną do czynienia.

Colin wstał i spostrzegł stojącą na schodach Josey.

– Trzymaj łapy przy sobie, chłopie – zadrwił. – W sądzie niewiele ci to pomoże. Sam złożę pozew o rozwód. Zobaczmy, co powie sędzia na to miłosne gniazdko.

Josey spojrzała na niego i nagle po raz pierwszy uświadomiła sobie, jaki to mały, słaby człowieczek.

– Oczywiście, zrób to koniecznie – powiedziała chłodno. – Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, jak długo potrwa proces? Jeśli Paula chce ślubu przed urodzeniem dziecka...

– Niech cię diabli! – krzyknął Colin. Josey wiedziała już, że dotknęła jego wrażliwego miejsca. – Od kiedy to jesteś taką wyrachowaną kurewką? – Zebrał papiery ze stołu i wsadził je do pogryzionej teczki. – Możesz sobie zatrzymać Josey – rzucił w stronę Toma, po czym odwrócił się na pięcie i wyszedł, usiłując zachować resztki godności.

Josey zbiegła ze schodów i ze śmiechem rzuciła się w ramiona Toma.

– Dlaczego go uderzyłeś? – spytała, zdziwiona nieco swoją radością z tego powodu.

– On pierwszy próbował mnie uderzyć – wyjaśnił Tom i uśmiechnął się do niej. – Nie było to z jego strony zbyt rozsądne. Nie biłem się z nikim od skończenia szkoły, ale jeśli ktoś na co dzień leczy duże zwierzęta, musi mieć niezły refleks.

Josey zachichotała wesoło i przytuliła głowę do jego szerokiej piersi. Tom pogłaskał ją po włosach.

– Chyba nie kochasz go już, prawda?

– Nie – pokręciła głową przecząco. – Od dawna już go nie Kocham.

Naprawdę chyba nigdy go nie kochałam. Strasznie mu się śpieszyło i jakoś wymógł na mnie zgodę na ślub. Nie miałam czasu, żeby się zastanowić.

Tom uniósł jej twarz i pocałował ją w usta, tak swobodnie i naturalnie, jakby to była najbardziej oczywista i normalna rzecz na świecie. Josey przymknęła powieki i rozkoszowała się tą chwilą, na którą czekała już od trzech tygodni.

Szybko ogarnęła ich namiętna pasja. Tom objął Josey ramionami i przycisnął do siebie tak mocno, że musiała się zorientować, jak silnie jest podniecony. Przytuliła się do niego. Kochała go tak bardzo, że nie mogła się zdobyć na wypowiedzenie choćby jednego słowa.

Nagle ogarnęła ją panika. Co będzie, jeśli nie zdoła dać mu rozkoszy? Jeśli go rozczaruje, tak jak Colina? Z rozpaczą próbowała udawać namiętne oddanie, ale Tom od razu się zorientował. Uniósł głowę i spojrzał na nią pytająco.

– Co się stało? – spytał cicho. Poruszył ręką, delikatnie pieszcząc jej pierś. – Nie bój się, Josey. Chcę tylko cię kochać. Nie sprawię ci bólu...

– Nie – załkała Josey i opuściła głowę. Tom spróbował unieść jej twarz, ale Josey nie pozwoliła na to.

– Bardzo przepraszam.

– Hej, nie musisz wcale przepraszać, to żaden problem – odrzekł Tom i przytulił ją czule do siebie. Pogłaskał ją uspokajająco po głowie. Pod palcami czuł powoli ustępujące drżenie. – Czy to przez niego?

– spytał. – Czy... używał przemocy? Czy cię bił?

– Och, nie – szybko pokręciła głową. – To przeze mnie. Nigdy... nigdy nie sprawiało mi to przyjemności. – Wybuchnęła płaczem. – Jestem oziębła.

Tom milczał chwilę, po czym wybuchnął pełnym niedowierzania śmiechem.

– Chyba żartujesz – powiedział wreszcie. – Wcale nie jesteś oziębła. Po prostu Colin nie wiedział, jak należy cię kochać – zapewnił. – To wymaga czasu – mruknął cicho. – Nie masz o co się martwić, nigdzie się nie śpieszymy. Będziemy posuwać się krok po kroku, aż wreszcie będziesz pewna, że jesteś już gotowa. Musimy pamiętać, że jesteś jeszcze mężatką – dodał z kpiącym błyskiem w oku. – Naprawdę myślę, że powinniśmy poczekać, aż otrzymasz rozwód.

Josey spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami. Wiedziała, że Tom nie zmieni swoich zamiarów. Wiedziała, że jej pragnie, i pragnie również,

aby odpowiedziała mu jak normalna kobieta. Wiedziała, że potrafi ją do tego doprowadzić.

Dotychczas jednak nie powiedział, że ją kocha.

Rozdział 8

Remont został wreszcie skończony i Josey wprowadziła się do własnego domu. Towarzyszyło temu wielkie podniecenie wszystkich jej nowych przyjaciół, którzy udekorowali dom kwiatami i zawiesili nad drzwiami wielki transparent z napisem „Witamy!”.

Josey nigdy jeszcze nie mieszkała sama. Już to było dla niej wystarczająco silnym przeżyciem. Wcale nie czuła się samotna. Codziennie odwiedzała wiejski sklep i spotykała się z wieloma ludźmi. Okazało się, że może wykorzystać swe umiejętności biurowe również na wsi. Proboszcz namówił ją, aby zgodziła się prowadzić sprawy paru przykościelnych stowarzyszeń, kilku farmerów zaś chętnie zatrudniło ją do pomocy przy papierkowej robocie. Trzy razy w tygodniu pracowała rano w biurze Toma.

Teraz, gdy już nie mieszkała u niego, ich związek stał się bardziej normalny. Tom parokrotnie zapraszał ją na wspólne wypadki – dwa razy do restauracji w Norwich, raz do teatru w Cambridge. Powoli, stopniowo, Josey uczyła się akceptować coraz bardziej intymne pieszczoty. Tom zapowiedział, że z miłością poczeka ją, aż Josey dostanie rozwód, i dotrzymywał słowa, ale to nie przeszkadzało mu w coraz bardziej poufałych zbliżeniach. Na samą myśl o nich Josey oblewała się szkarłatem.

Pewnego dnia nadszedł wreszcie list w sztywnej brązowej kopercie. Josey przez chwilę patrzyła na nią nieruchomym wzrokiem.

Litery tańczyły jej przed oczami. Minęło parę sekund, nim zdołała skupić wzrok na liście. Przedtem nie śmiała wierzyć, że wszystko pójdzie gładko, ale Colin najwyraźniej zrezygnował ze sporu w sprawach finansowych. Ponieważ nie mieli dzieci, wynik postępowania był oczywisty i sprawa okazała się bardzo prosta.

Zatem przestała już być mężatką. Dziewięć lat jej życia zostało przekreślone, lecz Josey czuła wyłącznie ulgę. Starannie złożyła list i schowała go do torebki, po czym zawołała Pepper.

Suczka w podskokach wybiegła z kuchni i spojrzała na nią błyszczącymi, wesołymi oczami. Pepper przeszła już wszystkie szczepienia i mogła wychodzić na dwór.

– Nie, nie idziemy na spacer – powiedziała Josey, po czym wzięła ją na rękę. Pepper koniecznie chciała polizać ją w ucho. – Dzisiaj jest piątek.

Idziemy do Toma uporządkować rachunki. Pobawisz się z Jethro.

Włożyła Pepper smycz i zaniósła ją do samochodu. Tego lata pogoda była wspaniała.

Josey pokochała rozległą panoramę Norfolk. Po tylu latach w mieście, czuła się nareszcie wolna i miała wrażenie, że może swobodnie oddychać.

Całą wieś ogarnęło radosne podniecenie. Następnego dnia na nadrzecznych łęgach miał się odbyć tradycyjny festyn Vanney Hal.

Teraz jednak Josey myślała o czymś innym. Zbliżając się do domu Toma, poczuła w brzuchu nerwowy skurcz. Gdy podeszła bliżej, zauważyła, że nigdzie nie widać land rovera, co oznaczało, że Toma nie ma w domu. Vi czyściła podłogę w kuchni i słuchała swej ulubionej audycji radiowej, podczas której słuchacze mogli zadzwonić do studia i powiedzieć, co im leży na wątrobie.

– Ech, ci ludzie – stęknęła, wstając z podłogi i witając się z Josey. – Nie rozumiem, dlaczego są tacy głupi. Może nastawię wodę i zaparzę trochę kawy?

– Sama to zrobię – zaproponowała Josey i puściła Pepper na podłogę, żeby mogła pobawić się z Jethro.

Gawędząc z Vi wypić kubek gorącej kawy, po czym przeszła do biura. Przeniesienie wszystkich dokumentów i rachunków na komputer zajęło jej kilka tygodni, ale teraz Tom musiał przyznać, że Josey miała rację. Obecnie prowadzenie biura zajmowało znacznie mniej czasu, choć do tej pory Tom nie nauczył się pracować na komputerze. Zawsze twierdził, że nie ma na to czasu.

Minęło również parę tygodni, nim Josey zrozumiała szczególny system, według którego Tom pobierał honorarium za swe usługi. Niektórym farmerom od razu wystawiał rachunki i wysyłał cierpkie ponaglenia, jeśli nie płacili na czas. Innym dawał spokój, dopóki nie zobaczył ich w barze w dzień targowy. Wtedy z reguły wracał do domu z plikiem banknotów. Często notował na serwetce, kto i za co zapłacił. Jeszcze inni płacili w naturze – mógł to być na przykład udziec barani, worek kartofli lub nie zawsze konieczna naprawa samochodu. A kilkoro starszków po prostu płaciło mu tyle, ile zwykli płacić kilkadziesiąt lat temu za opiekę nad swymi ukochanymi zwierzakami.

Jethro i Pepper, zmęczone zabawą, położyły się u jej stóp. Poranek z wolna mijał, zbliżało się południe, a Toma nie było widać. Josey nie mogła

się skupić. Wciąż myślała o tym, co powie Tomowi i o jego obietnicy. Oblizywała wyschnięte wargi i czym prędzej starała się wrócić myślami do rachunków.

Vi skończyła pracę i poszła do domu. Pół godziny później przed domem rozległ się warkot silnika i oba psy wybiegły, głośno szczekając, żeby powitać Toma. Josey postanowiła, że poczeka na niego w biurze.

Po chwili Tom ukazał się w drzwiach. Stał na progu i oparł się o futrynę. Patrzył na nią z uśmiechem. Jego męska sylwetka o szerokich barach i wąskich biodrach wywierała na Josey wciąż równie silne wrażenie, jak przy pierwszym spotkaniu. Może nawet silniejsze, ponieważ Josey wiedziała już, jaką czuje radość, gdy Tom obejmuje ją swymi silnymi ramionami. Również jego uśmiech, choć tak dobrze znajomy, wciąż sprawiał, że Josey z trudem przełykała ślinę.

– Cześć – powitała go, usiłując nadać swemu głosowi beztrioskie brzmienie. – Już kończę. Chciałbyś napić się kawy?

– Świetny pomysł – zgodził się Tom, patrząc na jej smukłe kształty. Josey poczuła, że się rumieni. Spojrzenie Toma zdradzało, jak bardzo jej pragnie. Gdy chciała go minąć, zastąpił jej drogę i chwycił w ramiona. – A może najpierw pocałunek? – spytał stłumionym głosem.

Josey poczuła na ustach zmysłowe dotknięcie jego warg. Język Toma, penetrujący wszystkie słodkie zakątki jej ust, wyraźnie sugerował, co się stanie, gdy przyjdzie właściwa pora i Tom weźmie ją całą.

Gdyby Tom wiedział, że list już nadszedł... Ciałem Josey wstrząsnął nerwowo dreszcz. Nie mogła mu tego teraz powiedzieć, potrzebowała jeszcze trochę czasu, żeby przywyknąć do tej myśli.

Tom przycisnął ją do biurka. Wygięte ciało Josey przylegało do jego twardego ciała. Tom uniósł ręce i zaczął rozpinać niewielkie guziczki jej bawełnianej bluzki. Josey wstrzymała oddech, niecierpliwie oczekując dotknięcia jego dłoni.

Od kiedy Tom zaczął ją powoli uwodzić, Josey wydała już prawdziwą fortunę na piękną bieliznę. Z reguły wybierała koronkowe staniki z zapięciem z przodu. Utyła nieco, jej kształty stały się pełniejsze. Pałące spojrzenie Toma mówiło jej wyraźnie, jaki podziw budziły w nim jej piersi, ujęte w ciasny, niemal przezroczysty stanik. Kiedyś Josey nie zdobyłaby się na to, aby tak się ubrać, ale teraz czuła tylko radość i dumę z własnej kobiecości i erotycznego powabu.

Tom z uśmiechem przejechał palcem wzdłuż jej szyi, aż do ukrytego między piersiami zapięcia stanika.

– O, mój ulubiony stanik – mruknął z zadowoleniem. – Tak łatwo go rozpiąć.

Po chwili stanik poleciał gdzieś na podłogę. Ukazały się jej nagie, pełne piersi z różowymi sutkami, już stwardniałymi i napiętymi, oczekującymi na jego palce, wargi i język.

– I ta kobieta myślała, że jest oziębła – zaśmiał się Tom i znowu przyciągnął ją do siebie. Pocałował ją czule i namiętnie, rękami pieszcząc jej piersi.

Po chwili posadził ją na brzegu biurka i stanął między jej nogami. Josey czuła, jak Tom unosi jej sukienkę i wodzi palcami po nagich udach. Oplotła nogi wokół jego bioder. Przyciągnął ją tak blisko, że wyraźnie czuła nacisk jego stwardniałej męskości.

Tom obsypał gorącymi pocałunkami jej wygiętą szyję, po czym pochylił głowę i wilgotnym językiem zaczął zataczać kółka na gładkiej, jedwabistej skórze. Oboje ciężko dyszeli. Wszystko poza nimi straciło znaczenie.

Josey niecierpliwie szarpnęła połę jego koszuli, po czym szybko rozpięła guziki i otoczyła ramionami muskularny tors, przytulając policzek do owłosionej piersi. Czuła łaskotanie sztywnych, kręconych włosów i słyszała mocne uderzenia jego serca.

– Kocham cię, Tom – szepnęła na tyle głośno, żeby Tom mógł ją usłyszeć. Ale podobnie jak wiele razy przedtem, tak i teraz Tom nic na to nie odpowiedział.

Zamiast tego uniósł ją nieco do góry. Wiedziała, co Tom zamierza, i aż jęknęła z niecierpliwości. Tom odpowiedział stłumionym śmiechem.

– Lubisz to, prawda? – mruknął cicho. – Nigdy nie masz dość.

To była prawda. Josey nie mogła się nadziwić, że nastąpiła w niej taka zmiana. Stała się niemal lubieżna, nigdy nie miała dość jego pieszczot. Nie mogła przecież tłumaczyć sobie, że to dlatego, iż Tom ją kocha. Nigdy tego nie powiedział, choć zawsze był dla niej czuły i serdeczny.

Gdy Tom znów pochylił twarz do jej piersi, Josey przestała się zastanawiać nad swoimi reakcjami. Czuła pocałunki coraz bliżej twardych, wrażliwych sutków.

Nie mogła się dłużej powstrzymać. Niemal łkając wygięła się do tyłu i podsunęła mu bliżej swe piersi, ale Tom w dalszym ciągu zwlekał. Dopiero

po dłuższej chwili Josey poczuła delikatne dotknięcie zębów i uścisk warg... aż wreszcie Tom wziął sutek głęboko w usta i zaczął rytmicznie ssać. Josey odrzuciła do tyłu głowę i jęknęła z rozkoszy.

Tom przerwał tylko na chwilę, po to, żeby obdarzyć tą samą pieśczętą drugą pierś. Po chwili ułożył Josey na biurku i jeszcze wyżej podciągnął jej spódnicę. Nagle poczuła onieśmienie. Miała na sobie tylko cienkie, koronkowe majteczki, które niemal nie kryły ciemnej kępki włosów między udami. Spięła się i miała ochotę odsunąć się od niego, ale bała się, jak Tom na to zareaguje.

– Spokojnie, nic się nie bój – szepnął Tom. – Nic ci nie zrobię – dodał, jednocześnie pieścąc jedwabistą skórę ud. Nie robił nic innego, tylko pieścił ją i całował. Powoli zdobywał jej zaufanie, krok za krokiem posuwał się coraz dalej. Josey wiedziała, że Tom pragnie przyzwyczaić ją do dotyku swoich dłoni, zupełnie tak, jakby była jakimś przestraszonym zwierzątkiem. Czekał, aż będzie gotowa zrobić następny krok. Na myśl o tym następnym kroku Josey czuła nerwowe podniecenie.

Nagle Tom przerwał i obciągnął w dół jej spódniczkę.

– Na razie wystarczy – mruknął, podniósł ją z biurka i wziął w ramiona.

Josey przywarła do niego. W duszy żałowała, że Tom przerwał pieśczęty. Tak było zawsze. Tom bezbłędnie wiedział, kiedy przestać. Wybierał taki moment, żeby Josey żałowała przerwy, by pragnęła kontynuacji. Przytuliła się do niego jeszcze mocniej, tak jakby chciała podniecić go do tego stopnia, by przestał nad sobą panować.

Tom zaśmiał się cicho. Dobrze wiedział, o co jej chodzi.

– Uważaj – powiedział, głaszcząc ją po włosach i delikatnie odsuwając jej głowę. W jego oczach widać było jeszcze ślady niedawnej namiętności. – Tańczysz na skraju przepaści.

Josey przez chwilę się wahała, czy powiedzieć mu o liście. Wtedy z pewnością Tom porwałby ją w ramiona i zaniósł do sypialni... Już otwierała usta, gdy nagle opuściła ją odwaga. Pomyślała, że powie mu o tym nazajutrz.

Tom uniósł brwi i spojrzał na nią pytająco. Zauważył, że chciała coś powiedzieć. Josey gorączkowo szukała jakiegoś uniku.

– Zaparzę kawę – wykrztusiła po chwili.

Tom zaśmiał się głośno i sam zapiął jej stanik.

– Dobrze – powiedział z wyraźnym zawodem w głosie. Najwyraźniej

miął nadzieję, że Josey powie coś zupełnie innego. – Ale nie będziemy już długo zwlekać. Pamiętam, że obiecałem ci, iż poczekamy, aż dostaniesz rozwód...

Josey pochyliła głowę i zaczęła zapinać guziki bluzki.

– Och, to już chyba niedługo – powiedziała, z trudem łapiąc oddech. – List od adwokata powinien nadejść lada dzień.

Usłyszała, jak Tom głęboko oddycha, tak jakby musiał walczyć ze swoją naturą. Po paru sekundach odsunął się od niej i zaczął zapinać koszulę.

– Lepiej już idź i zaparz tę kawę – powiedział.

– Przez jakiś czas mogę jeszcze brać zimne prysznice.

Poszedł do salonu i usiadł w fotelu, po czym zabrał się do przeglądania poczty. Josey zniknęła w kuchni.

– Wybierasz się jutro na festyn? – spytała, wróciwszy do pokoju.

– Oczywiście. Umówiłem się już z Paulem Leytonem, by mnie zastąpił.

Josey przejrzała się w starym, popękany lustrze, które wisiało na ścianie w salonie. Pomyślała, że bardzo się zmieniła od dnia, kiedy tu trafiła. Utyła, jej policzki lekko się wypełniły, a zdrowy rumieniec zastąpił chorobliwą bladość twarzy. Włosy się wzmocniły i nabrały połysku, a z oczu zniknęło znużenie, wywołane przez pigułki nasenne. Teraz widać było w nich wesołe iskierki. Ciekawe, czy to wpływ życia na wsi, czy też miłości? – zastanowiła się.

– Umieram z ciekawości, jak wygląda ten festyn – powiedziała, przynosząc z kuchni dwa kubki kawy.

– Słyszałam różne opowieści, ale nikt mi tego porządnie nie wytłumaczył. Co znaczy ta nazwa, Vanney Hal?

Tom zaśmiał się cicho, tak jakby chciał zasugerować, iż zdradzi jej zaraz wielką tajemnicę.

– Vanney to prawdopodobnie zniekształcone słowo Vanir – powiedział, obejmując ją w pasie. – To stare normańskie bóstwo płodności i potęgi przyrody.

– Bóstwo płodności? – powtórzyła Josey i mocno się zarumieniła.

– Mhm – mruknął Tom i przyciągnął ją do siebie, przesuwając dłońmi po jej pośladkach. Josey nieoczekiwanie znalazła się między jego udami. – Oczywiście, mało kto pamięta, co to naprawdę znaczy. Teraz festyn to niemal wyłącznie atrakcja turystyczna. Mimo to, podczas Vanney Hal, tu w nocy na bagnach...

Tom zrobił tak tajemniczą minę, że Josey parsknęła śmiechem i spróbowała się wysunąć z jego objęć. Tom na to nie pozwolił, najwyraźniej żartobliwa samotność sprawiała mu przyjemność. Co chwila ocierali się o siebie. Josey czuła, że znowu ogarnia ją płomień namiętności. Zaczęła szybko oddychać...

Nagle do kuchni weszła Sandra. Najwyraźniej domyśliła się, co się tu musiało dziać przed sekundą, ale próbowała ukryć zaskoczenie i ból.

– Cześć, Josey. Cześć, Tom – powiedziała, z trudem zdobywając się na uśmiech.

No, przynajmniej stara się opanować, pomyślała łagodnie Josey. Niewiele brakowało, a zaczęłaby jej współczuć.

– Cześć, Sandra – powitała ją serdecznie.

– Dzień dobry – rzucił niecierpliwie Tom. – Dzisiaj po południu mamy dwa koty do sterylizacji. Czy mogłabyś przygotować je do zabiegu, nim przyjdzie Hugh? Bardzo proszę – dodał jakby po namyśle.

– Dobrze, Tom – odrzekła Sandra i spojrzała na niego wzrokiem pełnym oddania. Zerknęła jeszcze na Josey i wróciła do kliniki.

Josey skorzystała z okazji i odsunęła się od Toma.

– No, musisz chyba przyznać, że jestem dla niej uprzejmy – powiedział Tom, rzucając ironiczną spojrzenie.

– To prawda – przyznała. – Wolałabym jednak, żeby nas nie widziała. Jest taka zazdrosna. Nie zasłużyła na taki los.

– I tak dobrze, że nie przysłała dziesięć minut temu – zauważył złośliwie Tom. – Pora już, żeby wreszcie dojrzała i znalazła sobie jakiegoś chłopaka. Nie możesz chyba powiedzieć, że dawałem jej choćby cień nadziei. – Tom podszedł do niej od tyłu, objął w talii i delikatnie skubnął ustami ucho. – Miałem nadzieję, że Sandra to zrozumie, dopóki jeszcze tu jesteś, ale chyba nic z tego.

– Co masz na myśli mówiąc, „dopóki jeszcze tu jestem”? – spytała Josey spokojnym głosem.

Tom uśmiechnął się krzywo, wypuścił ją z objęć i odsunął się od niej. Nie odpowiedział na to pytanie, ale Josey wiedziała, o czym myślał. Wciąż nie wierzył, że ona wytrwa na wsi. Czy dlatego nie chciał, aby ich związek wykroczył poza czysty erotyzm? Czy kiedykolwiek zaufa jej na tyle, żeby ją pokochać?

Gdy chodziło o Vanney Hal, żaden z mieszkańców wsi nie polegał wyłącznie na telewizyjnej prognozie pogody. Ważniejsze było, czy ktoś widział trzy wrony na jednej gałęzi? Czy krowy żuły siano na stojąco, czy też pokładały się na trawie? Czy rana starego Waltera, którą odniósł nad Sommą, przysparza mu cierpienie? Walter gotów był opowiadać, jak został ranny, każdemu, kto postawiłby mu piwo i chciał go wysłuchać.

Niezależnie od tych wszystkich oznak, choć dzień rozpoczął się od przelotnego deszczu, koło dziesiątej niebo się rozchmurzyło i zapanowała piękna, słoneczna pogoda. Gdy Josey przyjechała do wsi, nad rzeką zgromadził się już spory tłum mieszkańców przemieszanych z turystami. Wszyscy mieli na sobie barwne, letnie stroje.

Na skraju łąki znajdował się kościół, kamienny pomnik ofiar pierwszej wojny światowej, oraz kilka gospodarstw. Pośrodku stał pojedynczy, potężny dąb. Kiedyś rosło tam jeszcze kuka wierzb, ale pozostały po nich tylko pieńki, służące teraz do siedzenia. Zabudowania, przeważnie z cegły lub szarego granitu, były bezładnie rozrzucone wokół łąki, bez najmniejszej troski o urbanistyczny ład.

– Joscy! – Helen dostrzegła ją w tłumie i gwałtownie wymachiwała do niej ręką. – Chodź do nas, zajęliśmy miejsce dla ciebie.

Helen przysłała z całą rodziną: mężem, dziećmi i rodzicami Toma. Przyszedł nawet Hugh. Podobnie jak wiele innych rodzin, rozłożyli na trawie wielki koc i urządzili sobie piknik.

Tom siedział razem z rodziną. Widząc go, Josey przez chwilę się wahała, czy powinna do nich dołączyć. Jej związek z Tomem był zapewne tajemnicą poliszynela, ale jak dotychczas nie pokazywali się razem publicznie. Gdyby teraz przysiadła się do nich, nikt już nie miałby wątpliwości, że jest związana z Tomem. Josey nie była pewna, czy Tom sobie tego życzy.

Natomiast Pepper nie miała takich zahamowań. Natychmiast poznała swego ukochanego opiekuna i rzuciła się w jego stronę, radośnie poszczekując. Z ogromnym zapałem próbowała polizać go po twarzy. Tom zaśmiał się wesoło, po czym podrapał ją za uszami w taki sposób, że Pepper aż znieruchomiała i tylko mrucała z zadowolenia. Po chwili podniósł wzrok i spojrzał na Josey.

– Chodź do nas – zaprosił ją, siląc się na obojętność. Chwycił ją za rękę i pociągnął na koc. Z wielką zręcznością zmusił ją, żeby usiadła między jego podciągniętymi nogami, po czym objął ją od tyłu i oparł podbródek na jej

ramieniu.

– Sara, pobiegnij i powiedz ojcu, żeby przyniósł jeszcze jedno piwo dla Josey.

– Weź kanapkę – częstowała ją Helen. – Z jajkiem, z serem i z łososiem, możesz wybierać.

– Dziękuję – uśmiechnęła się Josey. Phyllis podała jej papierowy talerzyk. Josey rozsadzała radość. Tom publicznie zademonstrował ich związek, przy czym zrobił to tak swobodnie i naturalnie, jakby sprawa była oczywista. Czemu w ogóle miała co do tego jakieś wątpliwości? Jego rodzina zawsze odnosiła się do niej wyjątkowo serdecznie. Josey nigdy nie była członkiem tak wielkiej rodziny.

Po chwili pojawił się Donald z wielką tacą z napojami. Nim Josey zorientowała się, co się dzieje, już trzymała w ręku kufel piwa. Zazwyczaj nie piła piwa, co najwyżej czasem pozwalała sobie na szklankę jasnego. Tymczasem Donald przyniósł miejscowe piwo, ciemne i bardzo mocne. Josey upiła kilka łyków i przekonała się, że napój świetnie gasi pragnienie.

Zatem tak wygląda Vanney Hal, pomyślała rozglądając się wokół. Wszędzie widziała dziewczyny w białych sukienkach, z kwiatami we włosach. Małe dzieci dźwigały wiklinowe koszyki z owocami. Na wielu twarzyczkach widać było ślady soku z porzeczek.

Grupa tancerzy w ludowych strojach wykonywała jakiś skomplikowany taniec. Towarzyszył im skrzypek grający skoczną melodię. Słychać był dźwięk dzwoneczków przyczepionych do kostek tancerzy. Pepper uznała, że to świetna zabawa i koniecznie chciała się dołączyć, ale Josey zapobiegła temu.

– Hej, uspokój się – ostrzegła suczkę. – Jeśli nadmiernie się podniecisz, będziesz musiała wrócić do domu.

– Czy możemy się z nią pobawić? – zapytał prosząco Hugh, najstarszy syn Helen.

– Proszę bardzo – uśmiechnęła się Josey. – Tylko nie pozwólcie jej uciec. W tym tłumie łatwo może się zgubić.

Oparła głowę na ramieniu Toma i zabrała się do swojej kanapki. Po drugiej stronie łąki zobaczyła Sandrę. Ona również ich dostrzegła. Tym razem uśmiechnęła się i wesoło pomachała do nich ręką. Ślicznie dzisiaj wygląda, pomyślała Josey. Sandra miała na sobie białą, powiewną sukienkę. Uczesała włosy do tyłu i wpięła w nie kilka kwiatów. Towarzyszył jej

najstarszy syn Bilia Whickhama, który bardzo uważał, żeby żaden inny mężczyzna nie zwracał na nią szczególnej uwagi.

To nie do wiary, pomyślała Josey. Przecież jestem tu dopiero od trzech miesięcy, a czuję się tak, jakbym spędziła całe życie na wsi. Rozglądając się wokół, poznawała niemal wszystkich, rzecz jasna, z wyjątkiem turystów. Niemal każdy zatrzymywał się przy nich, żeby zamienić parę słów.

– Uwaga – psyknęła Helen. – Nadchodzi Vanessa.

Lady Fordham-Jones szła pod rękę ze swym mężem. Sprawiali wrażenie kochającej się pary, ale Josey podejrzewała, że to wyłącznie demonstracja na użytek publiczny. Zatrzymali się przy nich.

– O, Josey, co za niespodzianka. Cześć, Tom – powitała ich Vanessa ze sztucznym uśmiechem.

– Tak się cieszę, widząc was znowu.

Josey kiwnęła głową na powitanie. Czowała, jak Tom zaborczym gestem przyciąga ją do siebie.

– O, to ten szczeniak, którego uratowałaś? – rozczuliła się Vanessa. – Jaki śliczny. Jak go nazwałaś?

– To suczka, nazywa się Pepper – odrzekła Josey z wymuszonym uśmiechem. Pepper, wolna od uprzedzeń, powitała z entuzjazmem nową wielbicielkę i z zapałem lizła dłoń Vanessy.

Suczka stała się obiektem powszechnego zainteresowania. Wszyscy znali historię jej cudownego ocalenia, ale dotychczas niewiele osób miało okazję ją zobaczyć. Pepper była zachwycona, że tyle osób przyszło ją oglądać.

– Zaraz zacznie rozdawać autografy – zażartował Tom.

Josey czuła się nieco zakłopotana. Wszyscy patrzyli na nich z pobłażliwą aprobatą. Dobrze wiedziała, co myślą ludzie. Mieszkańcy wsi jakoś ją zaakceptowali, mimo iż wszyscy wiedzieli, że przez parę tygodni mieszkała u Toma. Ta tolerancja miała jednak swoje granice. Wszyscy oczekiwali, że Tom i Josey, jak Bóg przykazał, wkrótce się zaręczą i wezmą ślub.

To jednak wydawało się jej nieprawdopodobne. Tom ani słowem nie zdradził, że myśli o małżeństwie. No, przynajmniej nie robi mi żadnych złudzeń, pomyślała z ironią Josey.

List od adwokata wciąż spoczywał w jej torebce. Oczywiście, Josey miała zamiar powiedzieć Tomowi, że dostała rozwód. Wcześniej lub później musiała zdobyć się na ten krok. A wtedy... No cóż, postanowili przecież, że

gdy tylko dostanie rozwód, staną się kochankami.

Rzecz jasna, Josey mogła jeszcze zmienić decyzję. Mogła powiedzieć mu, że nie jest w pełni gotowa... Nie mogła się jednak spodziewać, że Tom zgodzi się odsuwać sprawę w nieskończoność. Wiele młodych kobiet tylko czekało na okazję, żeby zająć jej miejsce. Josey musiała się na coś zdecydować, i to szybko.

Rozdział 9

Tańce ludowe trwały jeszcze kilkanaście minut, występowało parę zespołów. Następnie zaśpiewał chór z Norwich, wystąpił również szkocki zespół z Glasgow. Pod wieczór, gdy już zaczęło się ściemniać, odbyło się właściwe przedstawienie.

Oświetlona pochodniami scena sprawiała niesamowite wrażenie. Role, męskie i kobiece, odgrywali mężczyźni z wioski, ubrani w tradycyjne kostiumy. Wszyscy dobrze wiedzieli, jaki strój oznacza jaką postać, i witali aktorów brawami lub gwizdami.

Josey przyglądała się przedstawieniu zafascynowana, starając się rozpoznać aktorów po głosie.

– To Donald, prawda? – szepnęła do Toma, wskazując na aktora w czerwonym fartuchu i wysokich butach.

– Tak – kiwnął głową Tom. – Zwykle tata odgrywał tę postać, ale jest już na to za stary, więc Donald odziedziczył rolę. Po nim obejmie ją młody Hugh. Większość ról od wielu pokoleń należy do poszczególnych rodzin.

– A co się dzieje, gdy nie ma odpowiedniego następcy?

– Wtedy przechodzi do innej rodziny – wyjaśnił Tom. – To musi być ktoś, kto urodził się we wsi. Najlepiej najbliższy krewny. Ale to zdarza się bardzo rzadko. Nawet ludzie, którzy już dawno stąd wyjechali, wracają do wsi, żeby wziąć udział w festynie Vanney Hal.

– W końcu jednak, gdy się zestarzeją, trzeba będzie zmienić reguły. Przecież ich synowie nie urodzili się tutaj.

– To prawda – przyznał Tom. – Szkoda, że tak się dzieje.

– Może nawet pozwolicie zagrać kobietom – zaśmiała się Josey.

– Bóg na to nie pozwoli! – wykrzyknął Tom, przewracając oczami z udanym zgorzeniem.

Koniec przedstawienia oznaczał również przerwę w zabawie. Mimo protestów, dzieci powędrowały do łóżek. Josey odwiozła Pepper do domu, dała jej jeść i położyła spać. Tom zajrzał do kliniki, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Spotkali się później przed wiejską knajpą. Zebrali się tam wszyscy mieszkańcy. Popijali piwo i z każdą chwilą atmosfera stawała się coraz bardziej gorąca. W płomieniach pochodni widać było zaczerwienione, męskie twarze.

Około dziesiątej, niczym na sygnał, wszyscy uformowali kolumnę pochodu. Na czele szedł skrzypek i jeden z aktorów z koroną jelenich rogów na głowie.

– Co teraz? – spytała Josey.

– Teraz obejdziemy całą wieś w uroczystej procesji – powiedział Tom. – Potem idziemy na spotkanie z Vanney Hal.

– Na spotkanie? – powtórzyła Josey. – Co chcesz przez to powiedzieć?

– Sama się przekonasz – odrzekł Tom z tajemniczym uśmiechem.

Po chwili rozpoczęła się procesja. Szli tańcząc i śpiewając jakąś tradycyjną pieśń. Obeszli całą wieś, kończąc na polu Billa Whickhama.

Ktoś podpalił zawczasu przygotowany stos drewna. Płomienie strzeliły wysoko w niebo. Procesja, tańcząc i śpiewając, trzykrotnie obeszła wokół ognisko. Gdy wreszcie stanęła, wszyscy z trudem łapali dech. Z tłumu wysunął się aktor z jelenimi rogami na głowie i głośno stuknął grubą, długą laską. Natychmiast zapadła cisza.

To było zdumiewające. Josey czuła w powietrzu narastające napięcie. Miała wrażenie, że za chwilę rzeczywiście zobaczy starego boga Normanów. Aktor wyrecytował jakąś dziwną formułkę, po czym rozległo się walenie w bęben. W tej samej chwili aktor włożył w ogień laskę i trzymał ją tak długo, aż zapłonęła.

Kilkunastu mężczyzn wysunęło się do przodu, tworząc niewielki krąg wokół prowadzącego ceremonię.

– Proszę, nie rób tego. W zeszłym roku obiecałeś, że to ostatni raz – słyszała Josey szept jakiejś kobiety. Ogarnął ją niepokój. Co tu się dzieje? – myślała.

– Chodź do nas, Tom – wykrzyknął jakiś mężczyzna. Josey instynktownie chwyciła Toma za ramię, próbując go zatrzymać. Zrozumiała jednak, że to na nic. Nie mogła powstrzymać go od wzięcia udziału w tradycyjnej, pogańskiej ceremonii.

– Nie bój się – szepnęła pogodnie Tom. – Nic mi się nie stanie. – Pocałował ją mocno w usta. Przytuliła się do niego, nie wierząc tym zapewnieniom.

Tom stanowczym ruchem odsunął ją na bok i zajął miejsce wśród stojących pośrodku mężczyzn. Helen chwyciła Josey za ramię i pociągnęła ją w stronę grupki kobiet.

– Nie martw się – powiedziała z uśmiechem. – Nikomu nic złego się nie

stanie. To taka zabawa dla wyrośniętych chłopców.

Wbrew zapewnieniom Helen nie wydawała się całkiem spokojna. Josey widziała wokół pełne napięcia twarze kobiet.

Znowu rozległ się śpiew, powolny i rytmiczny. Josey miała wrażenie, że cofnęła się w czasie do dalekiej przeszłości. Światło ogniska wzmacniało tę iluzję.

Laska prowadzącego ceremonię płonęła już do trzech czwartych swej długości. Podał ją jednemu z mężczyzn. Laska wyglądała niczym jakiś gniewny demon. Powoli krążyła z rąk do rąk.

– O co tu chodzi? – spytała gorączkowo Josey, przyglądając się ceremonii z mieszaniną fascynacji i strachu.

– Laska to duch Vanney Hal. Zrobiona jest z drzewa i okręcona nasyconymi smołą szmatami na prawie całej długości. W miarę jak krąży wokół, każdy musi ją przyjąć lub odpada. Nie wolno jej upuścić, to ściągnęłoby nieszczęście na całą wieś. Zwycięża ten, kto najdłużej utrzyma laskę – wyjaśniała Helen.

– Ale po co? – nalegała Josey. Przyglądała się niespokojnie, jak laska przechodzi po raz drugi przez ręce Toma. Płonęła już niemal na całej długości.

– Po nic – zaśmiała się Helen. – To po prostu jeszcze jeden stary zwyczaj, dla nas już niemal niezrozumiały. Ale szkoda byłoby pozwolić, żeby zaginał.

– Ale przecież oni mogą się poparzyć!

– Tylko trochę.

Słuchając chłodnego głosu Helen Josey nieco się uspokoiła. Z koła zaczęli już wypadać pierwsi przegrani. Niektórych odciągały żony lub matki. Tom nie rezygnował. Laska zatoczyła następne koło. Buchały z niej płomienie. Jeszcze kilku mężczyzn wycofało się z konkurencji.

Śpiew stopniowo stawał się coraz szybszy. Josey czuła, że jej serce również bije szybciej. Donald właśnie wycofał się z kręgu. Stał obok Helen i z kwaśnym uśmiechem przyglądał się ceremonii. Na środku pozostało już tylko czterech. Jeden z nich przez chwilę się wahał i stracił odwagę. Jeszcze trzech.

Josey miała ochotę krzyczeć. To przecież szaleństwo, po co to komu? W płomieniach ogniska widziała skupione, stężałe twarze. W tej chwili Uczyła się tylko płonąca laska. Josey poczuła, że nie wolno jej zakłócić ogólnego

skupienia...

Tom przyjął laskę i po chwili podał ją następnemu. Ten zawahał się, pokręcił głową i odmówił. Wszyscy wstrzymali oddech. Ostatni mężczyzna wyciągnął rękę po laskę, ale w ostatniej chwili zrezygnował.

Rozległ się tryumfalny okrzyk i kilkunastu mężczyzn porwało Toma na ramiona. Tom podniósł płonąca laskę wysoko w górę, zatoczył nią krąg i wrzucił do ogniska. Josey nagle zrozumiała sens ceremonii. Ziemia, woda, wiatr i ogień – to cztery elementy kształtujące ludzkie życie. Najgroźniejszym z nich jest ogień. Panowanie nad ogniem to najwyższy dowód panowania nad naturą i nad własnym strachem. Nic dziwnego, że ta ceremonia wszystkim wydawała się tak fascynująca. Tutaj, w odległym kącie wschodniej Anglii, pozostała żywa tradycja wywodząca się z najwcześniejszych lat ludzkiej historii.

Gdy Tom wrzucił płonąca laskę do ogniska, tłum pozwolił mu stanąć na własnych nogach. Wyciągnął ręce do Josey, która natychmiast rzuciła mu się na szyję. Załkała z ulgą.

– Hej, nic się nie stało – powiedział z uśmiechem.

– Dlaczego wzięłaś w tym udział? – spytała zduszonym głosem. – Przecież mogłaś się poparzyć.

– E tam – mruknął. – To nie jest takie niebezpieczne, trzeba tylko uważać i zachować zimną krew.

– W każdym razie wydaje się bardzo niebezpieczne.

– Chodź, pora na tańce – zaśmiał się Tom, nie przejmując się jej zdenerwowaniem.

Kapela znów zagrała jakąś skoczną melodię. Tom zawirował tak gwałtownie, że Josey po chwili poczuła zawroty głowy. Roześmiała się głośno, zapominając już o niedawnym strachu.

Tom objął ją w pasie i przyciągnął do siebie. Josey zarzuciła mu ręce na szyję. Kochała go tak bardzo, że aż czuła ból w sercu. Gdyby tylko Tom powiedział, że również ją kocha... Josey postanowiła, że może na to poczekać. Tej nocy miała należeć do niego.

Nadmiar piwa wyraźnie podziałał na wielu uczestników zabawy. Josey słyszała głośne uwagi, jakie niektórzy rzucali Tomowi, widziała, jak mrugają do niego porozumiewawczo. Bez trudu odgadła, o co im chodzi.

– Co oni sobie myślą? – spytała gniewnie.

– Och, to część starej tradycji – powiedział Tom. W jego oczach widać

było odbłask płomienia. – Zwycięzca Vanney Hal może w nagrodę spędzić noc z dziewczyną, którą sobie wybierze.

– Och... – zaczerwieniła się Josey.

– Oczywiście, w naszym wypadku musimy z tego zrezygnować – powiedział, ale najwyraźniej pragnął, aby Josey zaprzeczyła. – Jesteś jeszcze zamężna.

– No, niezupełnie – mruknęła i opuściła wzrok. – Wczoraj dostałam list od adwokata.

– Wczoraj? – Josey na chwilę przestraszyła się, że Tom będzie miał do niej pretensje o zwłokę. Zamiast tego przyciągnął ją jeszcze bliżej. Poczowała na twarzy jego gorący oddech. – Wobec tego...

Ogarnął ich płomień bardziej gwałtowny niż płonące ognisko. Gorący i namiętny pocałunek tak rozpałił ich pragnienia, że nie mogli już dłużej zwlekać. Josey zapomniała o pozostałych tancerzach, patrzących na nich z pobłażliwym rozbawieniem. Wiedziała tylko, że chce kochać tego mężczyznę, chce oddać mu swe ciało całkowicie i bez reszty.

Muzyka powoli cichła, ale oni wciąż tańczyli, zamknięci w swoim własnym świecie. Nie przerywając tańca Tom powiódł ją gdzieś na bok.

Josey oprzytomniała dopiero wtedy, gdy poczuła zapach świeżego siana. Uniosła głowę i zobaczyła dębowe wiązania dachu.

– Gdzie my jesteśmy? – spytała cichym szeptem.

– W stodole Billa Whickhama.

Josey przypomniała sobie stodołę stojącą na skraju pola, w pobliżu stajni. Zauważyła drabinę wiodącą na stryszek. Tom popchnął ją w tamtą stronę.

– Właż na górę – nakazał cicho.

– Na górę? – powtórzyła głosem drżącym z podniecenia. Uniosła głowę i spojrzała na strych.

Tom kiwnął głową.

– Tom, jest jeszcze jedna sprawa – wykrztusiła Josey, z trudem zdobywając się na poruszenie tego problemu. – To ma związek z Colinem. I z nami.

Tom spokojnie czekał, aż Josey powie, o co jej chodzi.

– No, wiesz... Wiem o Pauli, ale z pewnością były jeszcze inne. Nie mam pojęcia, kim były. W dzisiejszych czasach trzeba uważać...

– Nie martw się, pomyślałem o tym – powiedział Tom i uśmiechnął się

do niej. Również o tym, że możesz zajść w ciążę – dodał i poklepał się po kieszeni.

– Och... – Josey nie wiedziała, czy powinna pochwalić jego zdrowy rozsądek, czy mieć żal, że Tom tak starannie zadbał o to, aby przypadkiem nie mieli dziecka. Spojrzała na niego z oburzeniem. – Byłeś pewien, że się zgodzę, tak?

– Tak, byłem pewien, że już długo nie wytrzymasz – zaśmiał się Tom. – W każdym razie ja nie mogę już dłużej czekać. Teraz włącz na drabinę – popchnął ją lekko. – Pośpiesz się, bo inaczej wezmę cię tu, na podłodze.

Gdy znaleźli się na strychu, Tom od razu pociągnął ją na siano. Przewrócili się na siebie i wśród śmiechu zaczęli niecierpliwie walczyć z guzikami. Oboje czuli w żyłach podobny płomień.

I nagle oboje jednocześnie zdali sobie sprawę, że nie powinni się śpieszyć. Długo czekali na tę chwilę i teraz pragnęli się nią nacieszyć.

Tom wsunął rękę pod jej bluzkę i delikatnie musnął palcami nabrzmiałą pierś. Westchnęła cicho i przymknęła powieki. Gdy Tom wziął ją w ramiona, ogarnęło ją prawdziwe szczęście.

Powoli rozpiął pozostałe guziki bluzki. W ciągu ostatnich tygodni rozbierał ją wielokrotnie, ale tym razem oboje wiedzieli, że będzie inaczej. Tym razem nie zamierzali zatrzymać się w pół drogi.

Tom przejechał palcem wzdłuż krawędzi koronkowego stanika. Przez delikatną tkaninę widać było ciemne, stwardniałe sutki. Tom musnął je palcami poprzez materiał. Pod wpływem tej podniety Josey aż jęknęła z niecierpliwości.

– Tak bardzo cię pragnę, Josey – szepnął jej prosto do ucha, jednocześnie zręcznie rozpinając stanik.

– Chcę pieścić każdy centymetr twojego ciała. Masz taką jedwabistą skórę... – powiedział, przesuwając dłonią po okrągłej, nagiej piersi.

Josey pragnęła, aby pocałował ją w pierś. Wygięła całe ciało zapraszając go do złożenia pocałunku. Tom cicho się zaśmiał. Nigdzie się nie śpieszył.

– Masz takie piękne ciało – mruknął. – Twoje piersi są takie jędrne. Idealnie pasują do mojej dłoni. A smakują... – przerwał na chwilę i polizał napięty sutek.

– Smakują jak miód – dokończył.

Powoli i zmysłowo wodził językiem wokół jej różowych, delikatnych sutków. Josey głęboko westchnęła i uniosła ramiona nad głowę.

Przeciągnęła się niczym zadowolona kotka. Tom wsunął ręce pod jej plecy i przyciągnął do siebie, tak że ciało Josey utworzyło bezwładny łuk. Josey tylko cicho mruzczała z rozkoszy i palcami pieściła jego kark.

Znowu ogarnął ich płomień namiętności. Rozebrali się szybko. Ona pozostała tylko w koronkowych majteczkach, a on w dżinsach. Tom znowu przyciągnął ją do siebie, jednocześnie ręką chwytając jej dłoń. Josey zrozumiała, czego on pragnie i znów ogarnął ją nerwowym strachem.

– Uspokój się – wymamrotał Tom. – Nie masz się czego obawiać.

Obejmując ją i szepcząc słodkie słówka, przyłożył jej dłoń do swego ciała. Poprzez grubą tkaninę dżinsów Josey czuła jego stwardniałą męskość. Gdy uświadomiła sobie jego męską siłę, wstrząsnął nią dreszcz i niemal zapomniała o strachu. Wiedziała, że Tom da jej wyłącznie najczystsza rozkosz.

Josey pragnęła ofiarować mu taką samą rozkosz. Powoli odzyskiwała śmiałość i pewność siebie. Tom wyciągnął się na sianie na wznak i patrzył z zachęcającym uśmiechem, jak Josey go pieści.

Poczuła nagle przyływ odwagi. Uklękła przy nim, ujęła w dłoń jego głowę i zaczęła delikatnie całować skronie, oczy i usta Toma, który pozwolił jej przejąć inicjatywę. Na taką swobodę może pozwolić sobie tylko mężczyzna, który nie musi niczego udowadniać.

Josey czuła coraz mocniejsze pulsowanie krwi w żyłach. Zapomniała o wszystkim prócz narastającego w niej pragnienia.

Dłońmi wyczuwała twarde mięśnie jego ramion i piersi. Przeczesała palcami gęste włosy porastające klatkę piersiową Toma i podrażniła językiem niewielkie sutki. Następnie obsunęła się nieco niżej i przejechała ustami po jego twardym, płaskim brzuchu, aż dotarła do paska od dżinsów. Zawahała się, niepewna, czy starczy jej odwagi, aby posunąć się dalej.

Tom czekał spokojnie i nie ponaglał jej. Uniósł rękę i pogłaskał ją po głowie, dodając odwagi. Pod działaniem wewnętrznego przymusu Josey pokonała strach i spróbowała rozpiąć ciężką klamrę jego pasa. Tom pośpieszył jej z pomocą. Josey oblizwała zeschnięte wargi i rozpięła suwak dżinsów.

Nagle obudził się w niej kobiecy instynkt i odpowiedział jej, co ma robić. Nigdy, nawet w najdzikszych snach nie wyobrażała sobie, że odważy się na coś takiego. Zręcznymi dłońmi i gorącymi ustami pieściła jego ciało w pełnym oddania hołdzie. Wymyślała najbardziej wyszukane sposoby,

żeby wzmóc jego podniecenie. Ciałem Toma co chwila wstrząsały dreszcze, niedwuznacznie ostrzegając ją, że on jeszcze się jej zrewanżuje.

Josey nie mogła już dłużej opanować spalającej ją gorączki. Wstała i po krótkiej chwili wahania bardzo powoli ściągnęła figi. Rzuciła je gdzieś na bok.

Stała wyprostowana, pozwalając Tomowi nasycić się jej widokiem. Drżała nieco, a na jej skórze widać było migotliwy odbłask płomienia ogniska. Poprzez opuszczone rzęsy patrzyła, jak Tom przygląda się jej smukłym kształtom.

– Ale jesteś piękna – mruknął z ogromną satysfakcją. – I cała należysz do mnie.

– Tak – potwierdziła szeptem; miała ochotę dodać, że tak już będzie zawsze, ale to wydało jej się nie na miejscu. Przecież Tom wcale nie powiedział, że tego pragnie.

– Chodź do mnie – zawołał ją cicho i wyciągnął do niej rękę.

Gdy Josey zbliżyła się do niego, Tom chwycił ją za ręce i pociągnął w dół. Josey uklękła na jego biodrach. Tom podał jej niewielkie opakowanie.

– Ja... nie wiem, jak to zrobić – wyjąkała, oblewając się szkarłatnym rumieńcem.

– Spróbuj, to nic trudnego – odrzekł z uśmiechem. – Zawsze myślałam... Wydawało mi się, że to zniweczy rozkosz.

– Nic nie zepsuje nam rozkoszy – pokręcił głową Tom i uśmiechnął się do niej. Wzrokiem pieścił jej piersi i biodra.

Josey opuściła powieki i wstrzymując oddech usiłowała rozerwać opakowanie.

– Przegryź je – poradził Tom.

Josey spojrzała na niego i nagle zapomniała o strachu. Pokazała w uśmiechu mocne, białe zęby i bez trudu rozgryzła cienkie opakowanie. Delikatnie go pieszcząc założyła cienką prezerwatywę.

– No, widzisz – zaśmiał się Tom i chwycił ją w ramiona. – To wcale nietrudne, prawda?

Położył ją ostrożnie na sianie i pochylił się nad nią. Oparł się na łokciach, chroniąc ją w ten sposób przed zgnieceniem. Josey rozrzuciła szeroko nogi, obejmując nimi biodra Toma. Przeniknęło ją pragnienie zupełnego poddania się jego woli.

Josey mogła tylko biernie poddać się intymnym pieszczotom jego

wprawnych palców. Tom przesunął dłoń wzdłuż jej brzucha i szybko odnalazł najbardziej wrażliwy punkt ciała. Josey aż załkała z rozkoszy.

Miała wrażenie, że płonie w niej ten sam ogień, nad którym zapanował Tom w trakcie pogańskiej uroczystości. Tom pochylił się nad nią i znów pieścił jej piersi. Smakował je, tak jakby były to dojrzałe owoce, po czym przesunął się jeszcze niżej, w stronę niewielkiej kępki czarnych włosów, widocznych w spojeniu ud. Josey wstrzymała oddech. Nigdy jeszcze nie doświadczyła tak intymnych i tak zmysłowych pieszczot. Poczwała, jak Tom drażni ją gorącym językiem.

Posłanie z siana wydało się jej równie miękkie jak pościel z adamaszku. Tylko migotliwe światło ogniska rozpraszało panujące na stryszku ciemności.

Tom wziął ją jednym, mocnym ruchem, który niemal pozbawił ją tchu. Zatrzymał się i spojrzał jej w oczy.

– Wszystko w porządku? – spytał z troską.

– Och, tak... – mruknęła i zachęciła go wzrokiem do działania.

– Och, Josey, jesteś taka piękna – wymruczał Tom, po czym zaczął się w niej powoli, rytmicznie poruszać. – Tak bardzo cię pragnąłem.

Josey poczuła na policzkach słodkie łyzy rozkoszy. Teraz ona i Tom stanowili jedność. Nigdy jeszcze nie przeżyła czegoś równie pięknego. Tom był taki silny, taki męski. Dzięki niemu Josey czuła się prawdziwą kobietą.

Teraz Tom zapomniał o delikatności. Zbyt mocno jej pragnął. Josey wcale to nie przeszkadzało. Z radością przyjmowała każde pchnięcie jego ciała i czekała niecierpliwie na następne. Poruszali się wspólnie w pierwotnym, erotycznym tańcu. Josey czuła, że fala rozkoszy wznosi ją na jakieś niebotyczne szczyty. Oboje oddychali coraz głośniej, coraz bardziej nierówno. Mieli wrażenie, że razem szybują przez płomienie, aż wreszcie usłyszeli eksplozję i poczuli, że giną w wybuchu. Znieruchomieli, czując jednocześnie pełne zaspokojenie i wyczerpanie. Leżeli na sianie, nie wypuszczając się z objęć.

Rozdział 10

„We wrześniu będziesz już śmiertelnie znudzona. Gdy zaczniesz padać, uciekniesz do Londynu” – przepowiedział kiedyś Tom.

Wrzesień dobiegał już końca, a Josey nie miała najmniejszego zamiaru powrócić do miasta. Wyciągnęła się wygodnie na nowym łóżku i westchnęła z głęboką satysfakcją. Łóżko cioci Florrie byłoby dla nich stanowczo za małe, nawet gdyby jeszcze nadawało się do użytku.

Tom uniósł się nieco i podparł głowę na łokciu.

– Wyglądasz jak kotka, która dostała śmietany – powiedział z uśmiechem.

– Mhm – mruknęła i przytuliła się do niego. – I to najlepszej, jaka może być.

Tom zaśmiał się cicho i powoli przejechał palcami wzdłuż jej ciała.

– Czy wiesz, że jesteś najbardziej atrakcyjną seksualnie... – Nagle rozległo się buczenie alarmu, wzywającego go do telefonu. – Niech to diabli!

– zaklął. – Powinienem był wyłączyć to cholerne urządzenie.

Josey miała wrażenie, że uchodzi z niej powietrze, niczym z przekłutego balonika. Znowu jakaś chora kobyła albo krowa, mająca trudności z porodem. Przecież wiedziała, na co się decyduje.

– Dobrze, zaraz tam będę – powiedział Tom i odłożył słuchawkę. Pochylił się nad Josey i mocno pocałował ją w usta. Po chwili wyskoczył z łóżka i zaczął się ubierać.

Przecież nie zawsze ma dyżur, pomyślała z goryczą. Chociaż wtedy mógłby zostawać na całą noc. Tom jednak nigdy się na to nie zdecydował, choć czasem wychodził od niej dopiero o drugiej nad ranem. Nigdy też nie uprzedzał Josey, kiedy zobaczą się ponownie. Tom włożył kurtkę i podszedł jeszcze na chwilę do łóżka. Patrzył z uśmiechem na nagą Josey.

– Wyglądasz jak marzenie – powiedział.

– Możesz przyjść później. Będziemy razem marzyć – zaproponowała Josey.

– Dzisiaj nie mogę – odrzekł Tom i pokręcił głową. Błyski w jego oczach od razu zgasły. Pochylił się i pocałował ją, po czym szybko wyszedł. Josey usłyszała trzaśnięcie drzwi i warkot samochodu.

Po jej policzku spłynęła łza. Bez niego to łóżko wydawało się takie puste i zimne. Dlaczego Tom nigdy nie chce zostać, chociaż na jedną noc?

Następnego dnia rano odzyskała jednak równowagę. Dobrze wiedziała, że Tom zareagowałby niechęcią na wszelkie demonstracje uczuciowe, przeto zawsze starała się zachować zewnętrzny spokój i opanowanie.

Sandra powitała ją przyjaznym uśmiechem. Od święta Vanney Hal jej uprzednia wrogość nagle zniknęła. Zdaniem Vi, również od tego dnia młody Frank Whickham zaczął się często pokazywać w klinice.

– Czy Tom wyszedł? – spytała Josey, zabierając ze stołu paczkę listów.

– Wydaje mi się, że jeszcze go nie było – odpowiedziała Sandra. – Chyba dotąd nie wrócił od Billa Whickhama. Jedna z jego klaczy miała się ożrebić i Tom już dawno przewidywał, że mogą być komplikacje.

– Och... – westchnęła Josey. Przez chwilę zrobiło się jej głupio, że tak bardzo chciała, aby Tom został u niej na noc. Przecież skoro został wezwany, to musiał jechać. Co więcej, tym razem była to naprawdę ważna sprawa. – Zobaczą, czy Vi nastawiła wodę – powiedziała. – Masz ochotę na filiżankę kawy?

– Tak, bardzo chętnie... O, Tom przyjechał! Pewnie usłyszał, że zaraz będzie kawa! – zaśmiała się Sandra.

Rzeczywiście, akurat w tej chwili Tom podjechał pod dom. Josey spojrzała na niego przez okno i od razu zorientowała się, że tym razem przegrał bitwę. Wydawał się bardzo zmęczony. Josey podbiegła do drzwi. Koniecznie chciała jakoś go pocieszyć i uspokoić.

– Tom?...

– Dzień dobry – burknął. Szybko przeszedł do biura i zamknął za sobą drzwi.

Josey wbiła w nie zdumiony wzrok, Sandra natomiast uśmiechnęła się wyrozumiale, jak ktoś, kto widział już takie sceny wiele razy.

– Jest zdenerwowany – pocieszyła Josey. – Wcale nie chciał być niegrzeczny.

– Chyba tak – zgodziła się z nią Josey. Sama doszła do tego wniosku, ale niezbyt ją to pocieszyło. – Należę mu kawy.

Pobiegła do kuchni. Na szczęście Vi już zagotowała czajnik wody. Trzęsącymi się rękami Josey zaparzyła kawę, dokładnie tak, jak Tom lubił, postawiła filiżankę na tacy i poszła do biura. Zapukała do drzwi. Tom nic nie odpowiedział, ale Josey i tak weszła do środka.

Tom siedział za biurkiem i podpierał głowę obiema rękami. Josey miała ochotę pogłaskać go, ale spojrzał na nią tak niechętnym wzrokiem, że zrezygnowała z tego serdecznego gestu.

– Tom? – spytała ostrożnie. – Przyniosłam ci kawę.

– Dziękuję – powiedział i sięgnął po filiżankę.

Josey zawahała się, nie wiedząc, co robić dalej. Nie wiedziała też, co powiedzieć.

– Przygotowałam wszystkie dokumenty dla ministerstwa – powiedziała.

– Musisz je tylko podpisać.

– Dobrze – parsknął niecierpliwie. – Później!

– Bardzo mi przykro, Tom – wykrztusiła. – Czy udało ci się uratować klacz i źrebaka?

– Nie – odrzekł krótko. – Płód był zdeformowany i musiałem zrobić cesarskie cięcie. Gdybym wiedział o tym wcześniej...

– Przecież nie mogłeś wiedzieć – odrzekła Josey.

– Owszem, mogłem – stwierdził z goryczą. – Gdybym tylko miał pieniądze na ultrasonograf.

Josey aż zamrugała oczami ze zdziwienia. Jeśli to tylko kwestia pieniędzy, to przecież ona może sprzedać trochę akcji...

– Kupię ci ultrasonograf – zaproponowała natychmiast. – Ile to będzie kosztowało?

– Nie!

Josey chciała podejść do niego, ale Tom tak warknął, że stanęła jak wryta.

– Mogę sobie na to pozwolić – próbowała go przekonać. – Jeśli koniecznie chcesz, możesz potraktować to jak pożyczkę...

– Tak, wiem, że możesz sobie na to pozwolić. Teraz możesz wyrzucać pieniądze za okno, prawda? – zadrwił bezlitośnie. W jego głosie słychać było cyniczną pogardę. – Dziękuję, nie potrzebuję twojej łaski.

– Przecież to nie jest łaska! – zaprotestowała Josey. – Chcę ci kupić ultrasonograf. Po co mi te wszystkie pieniądze, jeśli nie mogę ich wydać na coś pożytecznego? – powiedziała podchodząc do niego.

– Nie potrzebuję twojej pomocy – mruknął. – Zatrzymaj sobie swoją forszę. Możesz sobie kupić nowego porsche'a.

– Nie chcę porsche'a – jęknęła Josey. – Chcę ciebie. Nigdy nie pozwalasz, żebyśmy się do siebie zbliżyli.

– Czyżby? – spytał Tom i uśmiechnął się szyderczo.

– Wydaje mi się, że zbliżyliśmy się do siebie tak bardzo, jak tylko jest to możliwe.

– I to dla ciebie już wszystko? – spytała. Czuła, że zaraz się rozplacze. – Dla ciebie liczy się tylko seks?

– O co ci chodzi? – odrzekł Tom ostrym tonem.

– Pomogłem ci pozbyć się zahamowań seksualnych. Możesz teraz wracać do Londynu i zacząć się bawić.

– Pomogłeś mi pozbyć się zahamowań seksualnych? – powtórzyła zdumiona Josey. – A więc to była tylko taka terapia? No, to bardzo panu dziękuję, panie doktorze. Teraz czuję się znakomicie.

– Jeśli dobrze pamiętam – powiedział z wściekłością – niczego ci nie obiecywałem. Jeśli chcesz żyć w miłej i ciepłej atmosferze rodzinnego szczęścia, to czym prędzej znajdź sobie kogoś innego. Wydawało mi się, że to powinno być dla ciebie zupełnie jasne. Możesz się zgodzić na to, co ci proponuję, lub odejść.

– Rozumiem – powiedziała. – Wobec tego odchodzę. Proszę, żebyś mnie nie odwiedzał, nie chcę cię widzieć. Wydaje mi się również, że będzie lepiej, jeśli znajdziesz sobie kogoś do prowadzenia biura.

Josey wyszła i zatrzasnęła za sobą drzwi. Nagła, nieoczekiwana kłótnia zupełnie wytrąciła ją z równowagi.

Zapewne popełniła błąd proponując, że kupi mu ultrasonograf – w ten sposób zraniła jego dumę. Uczyniła to jednak w dobrej wierze, z czystej życzliwości. Tom nie miał prawa tak się wściekać. Prócz tego Josey musiała wreszcie przyznać, że bynajmniej nie wszystko między nimi układało się bez problemów. Miała rację twierdząc, że Tom stara się nie dopuścić do tego, by doszło między nimi do prawdziwego zbliżenia. Ponownie uświadomiła sobie, że na próżno się łudzi.

Zrobię to, co powinnam, powiedziała sobie twardo i wytarła łzy. Jeśli Tom będzie chciał, żeby wróciła, będzie musiał sam jej poszukać, przeprosić i obiecać, że w przyszłości będzie ją lepiej traktował.

– Jaka piękna choinka! – wykrzyknęła Helen, patrząc z podziwem na świąteczne drzewko, które Josey dopiero co skończyła ubierać. – Dzięki tobie jest tu naprawdę przytulnie.

– Cieszę się, że mam wreszcie własny kąt – powiedziała z uśmiechem

Josey. – Zawsze tego pragnęłam. W Londynie nigdy nie mieliśmy choinki. Colin uważał, że to niemądry obyczaj. Nie, Pepper, nie możesz bawić się bombką – dodała i szybko odebrała psiakowi srebrne cacko. Bała się, że Pepper zaraz ją potłucze i pokaleczy pysk i łapy.

– Dokąd wybierasz się na święta? – spytała Helen.

– Może być jednak przyszła do nas na obiad?

– Nie sędzę, żeby to był dobry pomysł – pokręciła głową Josey. – Bardzo ci dziękuję za zaproszenie, ale jeśli Tom ma być u ciebie, to nie mogę przyjść. Wszyscy czuliby się skrępowani. Nigdy w życiu nie byłam tak zakłopotana jak poprzednim razem. Na mój widok Tom obrócił się na pięcie i wyszedł. Nawet nie przywitał się z mamą.

– Tak, wiem – powiedziała Helen i na jej twarzy pojawił się wyraz skruchy. – Bardzo cię przepraszam. Nie powinnam była zapraszać was bez uprzedzenia. Po prostu chciałam, żebyście znowu byli razem.

– To zależy wyłącznie od niego – stwierdziła stanowczo Josey.

– Boże, jacy jesteście uparci – westchnęła Helen.

– Do licha, o co się... pokłóciliście? Miałam wrażenie, że świetnie się wam układa.

– Nie chcę o tym mówić, Helen – ucięła rozmowę Josey. – Po prostu nic z tego nie wyszło.

– Ale przecież lubisz go, prawda? Jak możesz pozwolić, żeby ta historia tak się zakończyła? Tom jest naprawdę nieszczęśliwy, nie mam co do tego wątpliwości. Od waszego rozstania zachowuje się niczym rozdrażniony buhaj. Sandra już zrezygnowała z pracy, Vi też wkrótce będzie miała go dość.

– Zawsze był popędliwy i skory do gniewu – wzruszyła ramionami Josey. – To żadna nowina.

– Nigdy jeszcze nie widziałam go w takim stanie – stwierdziła Helen. – Zachowuje się, jakby na niczym mu nie zależało. Sandra twierdzi, że Tom otwiera pocztę raz na parę tygodni. W biurze panuje koszmarny bałagan, a ministerstwo rolnictwa nalega, żeby przysłał wreszcie sprawozdanie. Jeśli tak dalej pójdzie, Tom wkrótce zbankrutuje.

– Och, zapewne przydałaby mu się dobra sekretarka – przyznała Josey. – Jednak najlepszy byłby robot. Załatwiałby wszystkie jego sprawy, a Tom zawsze mógłby go zwymyślać i wyzwać od idiotów. Nie dziwię się, że Sandra zrezygnowała. Tom i tak miał szczęście, że nie zrobiła tego już

dawno.

– Tom potrzebuje ciebie – zapewniła ją Helen.

– Latem, gdy byliście razem, był zupełnie innym człowiekiem. Dlaczego nawet nie spróbujesz?

– Jeśli on przyzna, że mnie potrzebuje to zapewne spróbuję – odrzekła twardo Josey. – Ale nie łudź się, Helen. Tom nigdy nie przyzna, że ktoś jest mu potrzebny.

Mimo swego zdecydowania Josey czuła, że ogarnia ją smutek. W miarę jak nadchodził wieczór, czuła się coraz gorzej. Wyobraziła sobie święta u Helen. Bardzo by chciała tam być, i to razem z Tomem.

Pepper wyczuła, że jej pani jest smutno. Wskoczyła na kolana Josey i próbowała ją polizać. Josey serdecznie pogłaskała ją po głowie.

– Rozumiem – mruknęła cicho. – Ty również go kochasz, prawda? Niestety, Tom mnie nie kocha, wiesz? Tak jest lepiej. My za to pozostaniemy razem.

Pepper szcęknęła na znak zgody i zeskoczyła na podłogę. Natychmiast zaczęła rozglądać się za czymś, czym mogłaby się bawić.

Josey wyciągnęła się w fotelu i zacisnęła powieki. Zastanawiała się nad słowami Helen. Gdyby tylko miała pewność, że Tom tęskni za nią! Niestety, to były chyba romantyczne złudzenia jego bratowej.

Obie starannie unikały rozmów na temat Vanessy, która była w ciąży. Oczywiście, w głębi duszy Josey ani przez chwilę nie wierzyła, że Tom może mieć z tym coś wspólnego. A jednak chętnie dowiedziałyby się, co o tym myśli Helen. Przecież...

– Pepper! Boże, co się stało?

Jeszcze przed chwilą Pepper wesoło podskakiwała po pokoju. Nagle głośno pisnęła. Josey z przerażeniem zauważyła, że wokół jej przedniej łapki szybko rośnie kałuża krwi.

To srebrna bombka raz jeszcze spadła z choinki, potłukła się i Pepper nadepnęła na jeden z okruchów. Josey wpadła w przerażenie. Chwyciła ją na rękę, pobiegła do łazienki, owinęła łapkę ręcznikiem, po czym ruszyła biegiem do samochodu.

Jechała do wsi, przyciskając gaz do deski. Biedna Pepper strasznie krwawiła. Wszędzie w samochodzie widać było krwawe plamy.

– Proszę, Pepper, już niedługo – powtarzała w kółko. – Proszę, wytrzymaj jeszcze trochę. Już dojeżdżamy.

Z piskiem hamulców zatrzymała się przed kliniką Toma. Nie miała pojęcia, co by zrobiła, gdyby nie było go w domu. Na szczęście w kuchni paliło się światło, a przed domem stał land rover. Nim Josey wyskoczyła z samochodu, Tom otworzył już drzwi.

– Josey, co się stało? – spytał, podbiegając do samochodu.

– Pepper – odrzekła i od razu podała mu swą ukochaną. – Przecięła sobie łapę i strasznie krwawi.

– Wejdź do środka.

Po paru sekundach byli już w pokoju zabiegowym. Tom posadził Pepper na stole operacyjnym i powoli odwinął mokry od krwi ręcznik. Pepper od razu podskoczyła i spróbowała polizać go w policzek. Przy okazji poplamiała krwią jego koszulę.

– Jak na szczeniaka, który ponoć umiera z powodu upływu krwi, jesteś w niezłej formie – zaśmiał się Tom.

– No, uspokój się i pokaż łapę.

Josey przytrzymała Pepper, tak żeby Tom mógł ją zbadać. Pepper rzeczywiście nie była szczególnie przejęta swą raną.

– Naprawdę ma przeciętą łapę – powiedziała Josey.

– Spójrz tylko na ten ręcznik.

– Owszem, przecięła sobie opuszkę. To zawsze wygląda okropnie, ale w rzeczywistości nic jej nie grozi. Spójrz, krwawienie już niemal ustało.

– Czy zaszyjesz jej ranę? – spytała.

– Nie, to niepotrzebne – pokręcił głową Tom.

– Założę tylko opatrunek i na wszelki wypadek dam jej surowicę. Postaraj się przypilnować, żeby zaraz nie \ ściągnęła opatrunku. Podejrzewam, że to nie będzie łatwe – zaśmiał się cicho.

– Pewnie nie – przyznała Josey. – Dziękuję ci, Tom. Myślałam, że już po niej – dodała i nagle wybuchnęła płaczem. Tom natychmiast wziął ją w ramiona i delikatnie pogłaskał po głowie. Josey zatkała jeszcze głośniejszym. Tak bardzo za nim tęskniła.

– Już dobrze, Josey – mruknął cicho Tom, scałowując jej łzy. – Wszystko będzie dobrze.

– Och, Tom... – westchnęła i uniosła twarz. Tom pocałował ją w usta tak czule, jakby chciał w ten sposób nadrobić trzy miesiące rozłąki.

– Wróć do mnie, Josey – poprosił pokornie.

– Byłem taki głupi i uparty. Za żadne skarby nie chciałem przyznać, że

cię kocham. Pragnę cię, Josey.

Naprawdę cię potrzebuję. To nie ma znaczenia, czy będziesz chciała wrócić do Londynu. Pojadę z tobą. Tam też mogę pracować. Mogę mieszkać wszędzie, byle z tobą.

– Och, nie – szepnęła Josey. – Nie chcę wracać do Londynu. Lubię wieś i nie chcę się stąd ruszać.

– Jesteś pewna? A może tylko tak mówisz? – upewniał się Tom.

– Nie jestem taka jak Julia – pokręciła głową. Chciała, żeby raz na zawsze zapomniał o przeszłości.

– Rzeczywiście, nie jesteś – uśmiechnął się Tom.

– Jesteś zupełnie inna. Powiedziałaś, że dla mnie w naszym związku liczy się tylko seks. Tak było z Julią. Byliśmy zbyt młodzi i tak naprawdę nic nas nie łączyło. Urzekła mnie jej uroda. Po trzech miesiącach małżeństwa zrozumiałem, że nawet jej nie lubię.

– A jednak nie zdecydowałeś się na rozwód?

– Oczywiście że nie. Wciąż próbowałem dojść z nią do porozumienia. Przecież wzięliśmy ślub. Zapewne byłem zbyt dumny na to, żeby przyznać się do błędu. Byłoby lepiej dla nas obojga, gdybyśmy rozstali się znacznie wcześniej. Oszczędzilibyśmy sobie czterech lat nieszczęśliwego związku. Gdy wreszcie się rozstaliśmy, poprzysiągłem sobie, że nie powtórzę już takiego błędu. Wytrzymałem, dopóki ty nie wtargnęłaś do mojego życia. Gdy zobaczyłem cię w rozbitym samochodzie, wiedziałem, że je odmienisz.

– Kolejny ptaszek ze złamanym skrzydełkiem, tak?

– mruknęła, przytulając się do niego. – Zawsze ratowałaś wszystkie takie ofiary losu, prawda?

– Ale później zawsze musiałem wypuścić je na wolność. Myślałem, że z tobą będzie tak samo. Dlatego nie chciałem się zakochać. Dlatego nigdy nie chciałem zostać u ciebie na noc. Bałem się, że się przyzwyczaję do tego, że rano leżysz obok mnie. Gdybyś mnie rzuciła, nie wiem, jak bym to wytrzymał.

– Nigdy cię nie rzucę – zapewniła go Josey Ujęła w dłonie jego twarz. – Musisz wytrzymać ze mną już do końca. Nie oczekuję miłej i ciepłej rodzinnej atmosfery .

– A szkoda – przerwał jej Tom. – Tego właśnie pragnę. Wczoraj w nocy, gdy wracałem do domu, było strasznie zimno. Marzyłem o tym, że jesteś w domu i zaraz rozgrzejesz mnie pocałunkiem. Czytając w niedzielę gazetę

chcę wiedzieć, że ty także siedzisz przy kominku. Chcę widzieć w biurze ten idiotyczny wazon z różami, który tam zwykłaś stawiać.

– Ach, więc to o to chodzi! – zażartowała Josey.

– Helen wspomniała, że strasznie zaniedbałeś wszystkie sprawy biurowe. Nic dziwnego, że chcesz, abym wróciła. Potrzebujesz sekretarki.

– Nie potrzebuję sekretarki – odrzekł niecierpliwie Tom. – Potrzebuję ciebie.

Josey zarzuciła mu rękę na szyję.

– A czy pozwolisz, żebym ci kupiła ultrasonograf?

– spytała, korzystając z chwilowej przewagi.

– Możesz mi kupić wszystko, czego zapragniesz. Jeśli chcesz, sporządzę odpowiednią listę. Byłoby straszną głupotą pozwolić, żebyśmy się pokłócili tylko dlatego, że ty masz dużo pieniędzy.

– Zawsze tak myślałam – powiedziała Josey i roześmiała się. – I tak mam więcej niż potrzebuję, choć już sporo rozdałam na różne szlachetne cele. Nawet jeśli...

Raptem Pepper uznała, że już zbyt długo nikt się nią nie interesuje. W końcu to ona była pacjentką i należała jej się odpowiednia uwaga. Tom zaśmiał się cicho i puścił Josey.

– No dobra, zajmijmy się lepiej łapką tej głupiej suczki.

– Och, ona wcale nie jest głupia – zaprotestowała Josey. – Przecież dzięki niej się pogodziliśmy. Helen nie potrafiła do tego doprowadzić.

– Mam nadzieję, że jutro pójdziemy do niej razem – powiedział Tom. – Helen nigdy by mi nie darowała, gdybym cię nie przyprowadził.

– Oczywiście.

Josey przytrzymała Pepper na stole, tak żeby można ją było opatrzyć. Tom owinął jej łapę bandażem, po czym zrobił zastrzyk z surowicy i dał coś na uspokojenie.

Pepper niemal natychmiast zasnęła. Josey wzięła ją na rękę i przytuliła do piersi. Tom otoczył ręką jej ramiona i razem wyszli do kuchni. Gdy przechodzili przez biuro, Josey z przerażeniem rozejrzała się dookoła.

– Czy przez te trzy miesiące załatwiłeś choć jedną sprawę biurową? – spytała z ironią.

– Nie – przyznał Tom i pocałował ją w nos.

– Musisz wrócić i zrobić tu porządek.

W grudniu krajobraz Norfolk jest raczej ponury i szary. Gdy dotarli na farmę Helen i Donalda, Josey miała wrażenie, że przybyli do ciepłego schroniska. Już z daleka zauważyła migające światełka stojącej na tarasie choinki. Z komina unosiła się smuga dymu. Josey z utęsknieniem pomyślała o buzującym kominku.

Zerknęła na Toma kątem oka i lekko się uśmiechnęła. Tom odpowiedział jej uśmiechem. Czuła się zupełnie szczęśliwa, ale jeszcze chciała wyjaśnić jedną drobną sprawę.

– Słyszałeś o Vanessie? – spytała pozornie obojętnym tonem.

– Masz na myśli to, że jest w ciąży? – spytał Tom.

– Tak, Gerry mi powiedział. Jest wniebowzięty.

– Naprawdę?

– Tak. – Tom dosłyszał w jej głosie jakąś niepokojącą nutkę i spojrzał na nią ze szczerym zdziwieniem. – Gerry od dawna chciał mieć normalną rodzinę. Myślę, że już niemal stracił nadzieję, że uda mu się przekonać Vanesse. Kilka miesięcy temu Vanessa nagle zmieniła zdanie i teraz też jest zachwycona.

– To znakomicie – powiedziała Josey i westchnęła z ulgą, choć nigdy nie wątpiła, że Tom nie ma z tym nic wspólnego. – Lubię Geralda.

– Tak, to dobry chłop. Cieszę się, że ich małżeństwo zaczęło się lepiej układać.

– Vanessa przestała wreszcie robić do ciebie słodkie oczy? – zażartowała Josey.

– Tak, można to tak określić – zaśmiał się Tom. – To zawsze było dla mnie dość kłopotliwe.

– Jest bardzo ładna – zauważyła Josey.

– Tak, to prawda – przyznał. – Dla mnie jednak zawsze była po prostu koleżanką. Wiem, że wszyscy uważali, iż się pobierzemy, ale sam nigdy tego nie chciałem. Było jej ciężko, bo nie dopuszczała do siebie myśli, że jej nie kocham.

– No, teraz jest już szczęśliwa – uśmiechnęła się Josey. – I ona, i Gerald.

– To prawda – mruknął Tom i zatrzymał samochód przed bramą farmy. – Jeśli ta mała dama na tylnym siedzeniu nie będzie zbyt zazdrosna, to i my możemy wkrótce zrobić to samo.

– Masz na myśli dziecko? – spytała.

– Oczywiście. Dlaczego nie?

– Och... tak!

Dłużej nie mogli już rozmawiać. Dzieci dobiegły do samochodu i otworzyły drzwiczki. Wszystkie mówiły jednocześnie, a Pepper zerwała się z fotela i zaczęła szczekać. Oczywiście chciała wyskoczyć i zacząć wspólną zabawę.

– Hej, uważajcie na nią – powiedział stanowczo Tom. – Ma przeciętą łapę. Nie pozwólcie, aby ściągnęła opatrunek. Najlepiej zanieście ją do kuchni i połóżcie przy piecu.

Wyskoczył z samochodu i podszedł z drugiej strony, aby pomóc wsiąść Josey. Na progu pojawiły się Helen i Phyllis, obie wyraźnie uradowane widokiem Josey.

– Więc jednak jesteś! – krzyknęła Helen i mocno ją uściskała. – Wreszcie się pogodziliście – westchnęła z ulgą i spojrzała na szwagra tryumfalnym wzrokiem.

– Tak, dzięki temu, że Pepper przecięła sobie wczoraj łapę – wyjaśnił Tom. – No, a gdzie jest... O, dobrze, tam gdzie zawsze. Chodź tu, Josey.

Josey spojrzała na niego ze zdziwieniem. Tom pociągnął ją za sobą. Zatrzymali się dokładnie w progu. Josey spojrzała w górę i zobaczyła nad głową sporą gałąź jemioli.

– Już – mruknął Tom i mocno ją pocałował. Josey pomyślała, że chyba zapomniał o tym, iż wszyscy na nich patrzą.

– Tom! – zaprotestowała, usiłując odsunąć się od niego.

Tom podniósł głowę i spojrzał* jej prosto w oczy.

– Kocham cię, Josey.

– Och, ja także cię kocham – odrzekła i przytuliła go na chwilę.

Tom objął ją jednym ramieniem, po czym zwrócił się do całej rodziny.

– Mam wam coś do zakomunikowania – oświadczył dumnie.

– Mamy wam coś do zakomunikowania – poprawiła go Josey.

– Dobrze, mamy wam coś do zakomunikowania. Wkrótce bierzemy ślub.

Wszyscy zaczęli śmiać się i krzyczeć z radości. Nawet zazwyczaj bardzo opanowany Donald wyraźnie się ucieszył i serdecznie uściskał Josey.

– Kiedy ślub? – spytała Helen.

– Czy mogę być druhną? – prosiła mała Sara, chwytając Josey za nogi i patrząc na nią błagalnie.

– Oczywiście, kochanie – zapewniła ją Josey. – Nie ustaliliśmy jeszcze daty...

Nagle rozległ się terkot alarmu wzywający Toma do telefonu.

– Och... – Tom w ostatniej chwili powstrzymał się od przekleństwa, i to tylko z uwagi na obecność dzieci. – Odgrzejesz mi później obiad? – spytał z ironiczną rezygnacją.

Josey uśmiechnęła się do niego i pocałowała go w policzek.

– Nie martw się – powiedziała cicho. – Będę na ciebie czekała.